Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 8. VII. 1951 r.

Nr 27 (309)

I KONGRES NAUKI POLSKIEJ
29-VI — 2-VII 1951 R.

CZESŁAW NOWIŃSKI

BUDOWA SOCJALIZMU A ROZWÓJ NAUKI

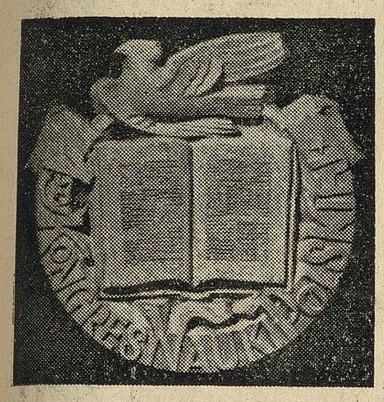

I Kongres Nauki Polskiej! Tysiące uczonych z wszystkich polskich uniwersytetów, ze wszystkich instytutów i innych placówek badawczych zjechało do Warszawy, aby omówić najbardziej istotne sprawy polskiej nauki, sprawy jej rozwoju, jej ścisłego powiązania z życiem narodu, z wykonaniem planu 6-letniego, z budową podstaw socjalizmu w Polsce, z naszą walką o pokój. Kongres otacza wielka uwaga polskiego społeczeństwa, opieka Partii i Rządu. Bo też jakże poważna jest rola nauki w Polsce, budującej socjalizm.

Należy więc zdać sobie sprawę:

dlaczego w krajach imperialistycznych, w sferze panowania kapitału monopolistycznego nauka zwyrodniała i nie może więcej prawidłowo się rozwijać tak, że budowa socjalizmu staje się koniecznym warunkiem dalszego rozwoju nauki,

...dlaczego budowa socjalizmu wymaga rozkwitu badań naukowych, dlaczego nie jest możliwe wykonanie naszych dalekosiężnych planów gospodarczych bez odpowiedniego rozwoju nauki,

...dlaczego wreszcie nauka staje się sprawą, która obchodzi cały naród, staje się sprawą ogólno-narodową.

A więc: budowa socjalizmu jako warunek rozwoju nauki; rozwój nauki jako warunek budowy socjalizmu i ogólno-narodowy charakter naszej nauki — te 3 zagadnienia przedkładamy czytelnikowi.

* * *

Od czasów Mikołaja Kopernika, a więc w ciągu ostatnich lat 400 nauka poszła milowymi krokami naprzód. Produkcja kapitalistyczna łączyła się z rozwojem techniki, technika nasuwała nowe problemy i zadania nauce, odkrycia zaś naukowe i wynalazki z kolei przyczyniały się do doskonalenia techniki. Wiek XIX, w którym nastąpił szczególnie poważny rozwój nauki i techniki, nazwano zaszczytnie wiekiem pary i elektryczności. Ale wiek XX prześcignął swego poprzednika. Nazwa wieku elektryczności już go nie zadawala. Nasz wiek chciałby sobie zasłużyć na miano stulecia energii atomowej, chemii i biologii. Wyzwolenie i wprzągnięcie w służbę człowieka niewyczerpanych zasobów energii wewnątrz atomowej, synteza chemiczna, twórcze przekształcenie żywej przyrody, tworzenie nowych gatunków zbóż, owoców, zwierząt, coraz skuteczniejsze zwalczanie chorób — oto są niezmierzone możliwości panowania nad przyrodą, które mogłyby stanowić dumę XX wieku. Ale jednocześnie jesteśmy świadkami faktu, iż kapitalizm, który w zeszłych stuleciach pobudzał rozwój nauki stał się od dziesiątków lat, w okresie imperializmu hamulcem jej rozwoju.

Weźmy jako przykład biologię. Badania biologiczne takie, jakie prowadzą uczeni w Związku Radzieckim, otwierają zupełnie nowe i nieznane dotychczas możliwości przed rolnictwem. Tymczasem biologia roślin i zwierząt nie rozwija się należycie w krajach kapitalistów. Na ostatnm np. Kongresie Biologów w Sztokholmie w r. 1948 zajmowano się w pierwszym rzędzie sprawami ras ludzkich i eugeniki (pozazdroszczono widocznie laurów hitlerowcom), omawiano też takie tematy, jak „zdolność poruszania uszami" — (referent prof. L. Linder), albo „dziedziczenie dużego palca u nogi" — (referent prof. T. Romanus).

Natomiast nie zajmowano się sprawami chyba ważniejszymi niż zdolność poruszania uszami, chociażby sprawą zwiększania wydajności upraw zbożowych, mleczności krów itp. Dlaczego? Dlatego, że kapitaliści nie widzą obecnie możliwości zwiększenia swych zysków przez udoskonalenie rolnictwa i hodowli. I tak przecież palą nadwyżki zbożowe, aby utrzymać ceny na rynku światowym.

Oto więc jaskrawy przykład poddania nauki potrzebom dyktatury monopoli kapitalistycznych. Taka nauka rozwiązuje nie te zagadnienie, które służą narodowi i dobrobytowi ludu, lecz te które dyktuje interes kapitalisty. Tak np. badania „rasowe" pozostają w związku z interesami kolonialnymi, badania psychologiczne nad kwalifikacjami robotników — ze sprawą zysków kapitalisty itd.

Interesy kapitalistów nie pozwalają nieraz na wprowadzenie w życie już dokonanych odkryć i wynalazków. Oto przykład. Wielki koncern samochodowy „General Motors" wykupuje wiele patentów na wynalazki, ale zaledwie jeden patent na sto stosuje w praktyce, resztę zaś chowa pod sukno. Na cóż mu służy wykupienie patentu? Chroni przed próbą konkurencji. Monopole kapitalistyczne hamują więc rozwój nauki i wypaczają kierunek badań. Szczególnie nauki kapitalistycznej w zachodzącym obecnie procesie militaryzacji nauki. Kapitalizm naszej doby rozwija siły wytwórcze tylko dla potrzeb wojny, bo monopolom gwarantują zyski przede wszystkim przygotowania wojenne. Toteż fizyka, chemia, inżynieria rozwijają się w krajach kapitalistycznych pod kątem potrzeb wojennych, rektorami zaś i kierownikami uniwersytetów coraz częściej mianowani są generałowie. Fizyka badań atomowych służy np. wyłącznie produkcji bomb atomowych. Z początkiem 1950 r. postanowiono coprawda przystąpić do budowy w pobliżu Nowego Jorku zakładów doświadczalnych dla badań nad zastosowaniem energii atomowej w przemyśle, jednak koszt tych badań miał wynieść tylko 3 proc. ogólnych wydatków na badania energii atomowej. Ale już po trzech miesiącach komisja energii atomowej odłożyła budowę tych zakładów i badanie nad pokojowym zastosowaniem energii atomowej na czas nieokreślony, aby umożliwić koncentrację wysiłków nad udoskonaleniem bomby atomowej. Wielki kapitał amerykański był bardzo zaniepokojony projektem tych badań, rozpoczął też gwałtowną przeciwko nim kampanię prasową, dowodząc, że stosowanie energii atomowej dla celów pokojowych będzie niezmiernie kosztowne i stanowczo się nie opłaci. Oczywiście, badania nad udoskonaleniem bomb atomowych, barbarzyńskiego środka niszczenia — opłacają się znacznie lepiej. Opłacają się też badania nad bakteriami, ale nie po to, aby zwalczać bakterie chorobotwórcze, lecz po to, by z bakterii uczynić narzędzie śmierci, by przez rozsiewanie bakterii powodować straszliwe epidemie. Jeden z uczonych amerykańskich, Rozebury, powiedział w związku z tym „Jeśli chcecie zrozumieć wojnę bakteriologiczną musicie stanąć na głowie. Wojna bakteriologiczna jest odwróconą nauką, jest odwróceniem porządku przyrody. Normalnie badamy choroby aby im zapobiegać lub je leczyć! Lecz wojna bakteriologiczna stawia zadanie: wywołać choroby"... ...Dr Leon Szilard z uniwersytetu Chicago widocznie umie stawać na głowie, gdyż zajął się obliczeniem „jaką ilość nautronów lub ciężkiego wodoru musimy doprowadzić do eksplozji, aby tą właśnie metodą zabić wszystko na ziemi". Dr Szilard powiada: „Doszedłem do wniosku, że około 50 ton neutronów wystarczy do zabicia wszystkiego, co równa się około 500 tonom ciężkiego wodoru". Najlepsi uczeni krajów kapitalistycznych odczuwają wstręt do takiej wynaturzonej, zbrodniczej nauki. 10 wybitnych fizyków z Einsteinem i Morrisonem na czele złożyło ostatnio protest przeciwko militaryzacji nauki. Wielki zaś fizyk i bojownik o pokój, Fryderyk Joliot Curie, mówił w Warszawie na uroczystości nadania mu tytułu doktora honoris causa Warszawskiego Uniwersytetu: „Nie chcemy widzieć zgubnego... wyniku naszych badań. Pracujemy dla ogółu, dla dobra mas ludowych, nie chcemy pracować dla korzyści jednostek ani dla wojny. Jesteśmy zaniepokojeni tym, że nauka, którą uprawiamy będzie użyta do złych celów. Dlatego nasze rozważania naukowe nie są dziś dostatecznie ścisłe, są mniej płodne, a myśli nie płyną szeroko i swobodnie". Jak wiemy Fryderyka Joliot-Curie, jednego z największych fizyków współczesnych i największego fizyka Francji, rząd francuski, wysługujący się imperialistom amerykańskim, zwolnił ze stanowiska Wysokiego Komisarza Badań Atomowych, gdyż Joliot-Curie nie chciał zgodzić się aby jego placówka naukowa służyła celom wojennym, natomiast domagał się prowadzenia w dalszym ciągu badań nad pokojowym zastosowaniem energii atomowej w przemyśle. We Francji zdegradowanej do roli dostawcy mięsa armatniego amerykańscy imperialiści usiłują w ogóle wstrzymać orzwój nauki i uzależnić technologiczne wyposażenie od Ameryki.

Sądzę, że po tych uwagach są dla nas zrozumiałe przyczyny niedorozwoju szeregu gałęzi nauki w Polsce w okresie międzywojennym. Przecież nie brakowało nam nigdy uzdolnionych ludzi, utalentowanych naukowców Przecież nazwiska takich fizyków jak Smoluchowski, Olszewski, Wróblewski, rozsławiły imię Polaka na całym świecie na początku XX wieku. Dlaczegóż zamarły stworzone przez nich ośrodki badań w okresie międzywojennym? Dlatego, że byliśmy wtedy półkolonią, w dużej mierze zależną od kapitału imperialistycznego, w którego interesie wcale nie leżał rozwój fizyki, chemii i techniki w Polsce. Z tych samych powodów wybitne odkrycia polskiego geologa naftowego Grzybowskiego (metoda badań otwornicowych) nie znalazła warunków rozwoju i zastosowania w Polsce sanacyjnej, a stosowana jest teraz w Stanach Zjednoczonych. Jakże mogły się u nas należycie rozwijać nauki rolnicze, wiązać się z praktyką rolnictwa i służyć jej, gdy stan materialny i położenie klasowe chłopa polskiego, żyjącego i spychanego w warunki coraz bardziej zacofanej gospodarki rolnej nie sprzyjał przyjmowaniu przez chłopa odkryć naukowych i stosowaniu wyższej techniki.

Imperializm stał się prawdziwym hamulcem rozwoju nauki, zarówno w metropoliach jak i w krajach od nich zależnych, nauka pod panowaniem monopoli kapitalistycznych degenerowała się, i wyrodnieje wciąż, zmuszona do pełnienia służby dla „brudnych wojen" kapitału i dla jego perfidnego masowego wyzysku. Jest ona o sto mil od pełnienia szczytnej służby dla ludu, dla jego potrzeb, dobrobytu i rozwoju.

* * *

Tylko socjalizm stwarza obecnie warunki dalszego rozwoju nauki służącej dobru narodów i ludzkości. Wyzwalając człowieka, zrzucając jarzmo imperializmu, rewolucja socjalistyczna wyzwala także i naukę. Nauka nie musi więcej słuchać dyktanda kapitału. Może wszystkie swe siły oddać ludowi, służyć rozwojowi narodu, służyć sprawie pokoju. Już samo usunięcie hamulców kapitalistycznych pozwala wydobyć wóz nauki ze ślepego toru i przyśpieszyć jego ruch postępowy.

Chodzi jednak nie tylko o to. Rewolucja socjalistyczna jest początkiem nowej epoki w dziejach ludzkości. Odtąd bowiem historia jest świadomie i planowo tworzona przez ludzi. Państwo socjalistyczne zostało stworzone i rozwija się według planu, opartego na naukowej podstawie, na teorii marksizmu-leninizmu. Zilustrujemy to na przykładach. Lenin zbadał rozwój kapitalizmu w XX wieku i na podstawie analizy tego okresu doszedł do naukowo uzasadnionego wniosku o możliwości rewolucji socjalistycznej w jednym kraju bez czekania, aż dojrzeją warunki rewolucji w głównych krajach kapitalistycznych.

Na tym odkryciu naukowym Lenina oparła się Wielka Rewolucja Październikowa.

Stalin jest twórcą naukowej teorii socjalistycznego uprzemysłowienia. Zgodnie z tą teorią uprzemysłowienie socjalistyczne w odróżnieniu od kapitalistycznego ma za punkt wyjścia rozwój ciężkiego przemysłu, a w szczególności przemysłu maszynowego. Praktyka socjalistycznego uprzemysłowienia ZSRR była realizacją teorii Stalina. I my, budując w Polsce Ludowej przemysł socjalistyczny w ramach Planu 6-letniego, odrabiając wiekowe zacofanie i przekształcając Polskę w kraj potężnego przemysłu i kolektywnego, opartego na nowej technice rolnictwa opieramy się na nauce Lenina i Stalina.

Jest oczywiste, że w ustroju, w którym cała praca państwa i społeczeństwa oparta jest na teorii naukowej ogromnie wzrasta rola i funkcja społeczna nauki. Praca naukowo-badawcza staje się odpowiedzialną sprawą państwową. Przed nauką zaś otwierają się nie tylko nowe zadania, ale i nowe możliwości rozwoju. W ustroju, który znosi wyzysk człowieka przez człowieka nauka społeczna nie maskuje rzeczywistych stosunków, przeciwnie, bada je z całą dokładnością i ustala prawdziwe prawa rozwoju. Natomiast „nauka" burżuazyjna używa niemałego wysiłku, aby zatuszować wyzysk, usprawiedliwić nędzę mas ludowych, uzasadnić konieczność wojny i uzależnienia narodów. Za nędzę mas ludowych ponosić ma rzekomo odpowiedzialność prawo zmniejszającej się urodzajności gleby. To nie kapitalizm powoduje przez rabunkową gospodarkę wyjałowienie setek tysięcy hektarów, lecz „takie już jest prawo natury". W Indiach jest głód, teoria burżuazyjna tłumaczy: ziemia jest przeludniona i oblicza ile jest „zbędnej" ludności w świecie, a zatem... „wojna jest doskonałym środkiem na rozładowanie nadmiaru ludności". Niejeden zaś „uczony" burżuazyjny

(Dokończenie na str. 2)

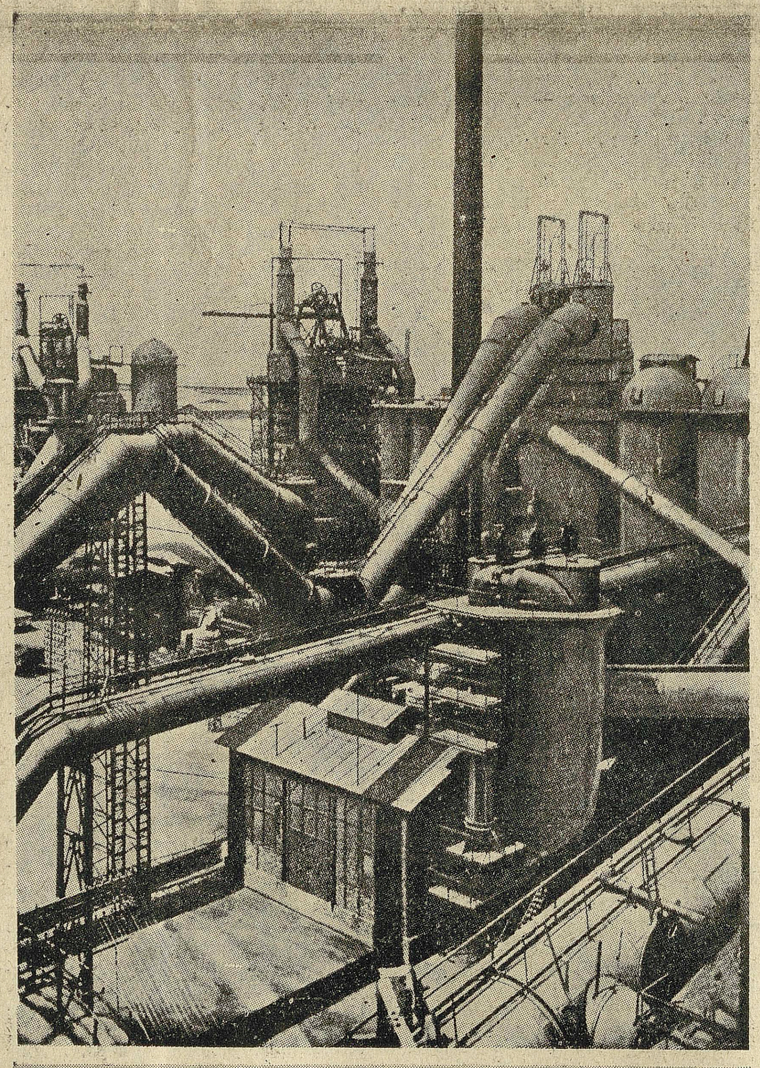

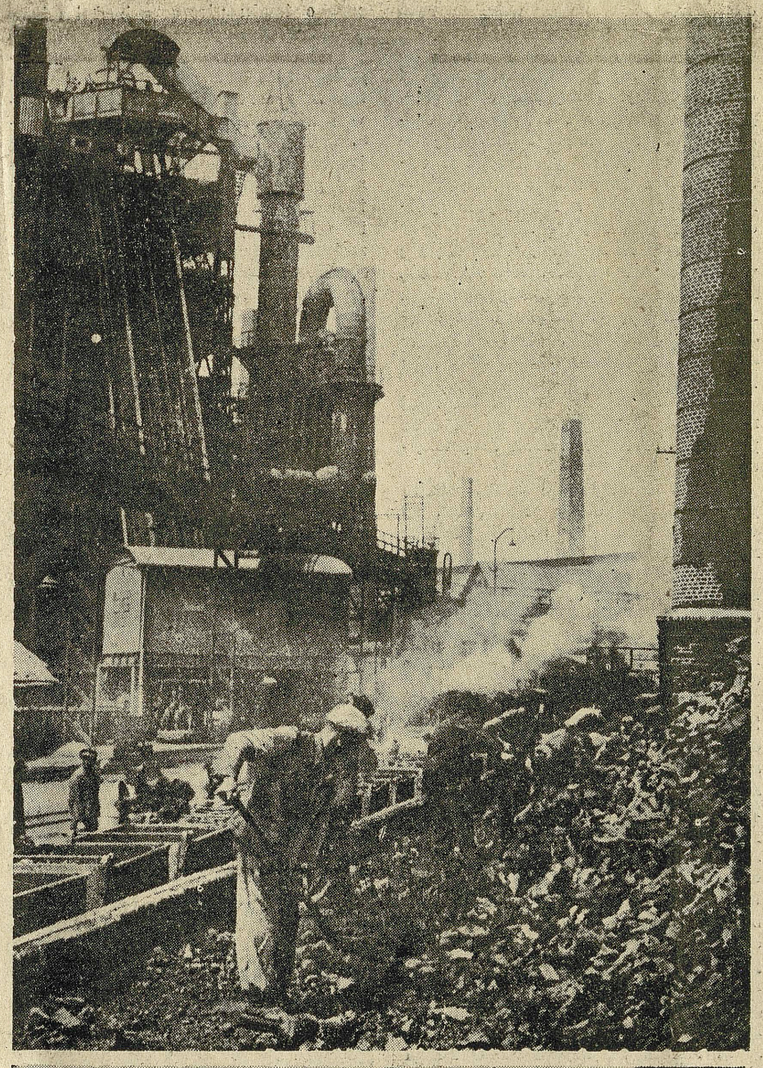

ROZWÓJ NAUKI

(Dokończenie ze str. 1)

dochodzi do wniosku, że świat jest w ogóle niezmiernie tajemniczy, naukowo poznać go nie można i zachwala chiromancję, astrologię, jak to uczynił znany J. Huxley w wywiadzie, który się ukazał p.t. „Dr J. Huxley o jogach".

Całe to śmiecie odrzuca nauka socjalistyczna i naukowo bada społeczeństwo i przyrodę, aby je przekształcać dla dobra ludzkości. Tak więc budowa socjalizmu jest warunkiem rozwoju nauki, głoszącej prawdę, służącej narodowi, pozwalającej budować nowy świat. w oparciu o zdobycze wiedzy.

Ale i odwrotnie budowa socjalizmu jest niemożliwa bez potężnego rozwoju nauki. Rozwój nauki jest warunkiem budowy socjalizmu. Teoria marksizmu-leninizmu jest dla nas wskazówką, wytyczną działania. Musi więc ona rozwijać się w miarę zmiany stosunków społecznych i dostosowaniu do właściwości każdego kraju. Nie schematy ale nauka, która uogólnia nowe doświadczenie ruchu robotniczego, walki rewolucyjnej, budownictwa socjalistycznego — tylko taka żywa, twórcza nauka pomaga budować socjalizm i wykonywać wielkie plany.

Plany te wytyczają olbrzymi rozwój sił wytwórczych, uprzemysłowienie kraju, rozwój rolnictwa opartego na technice maszynowej, rozbudowę miast, transportu, łączności. Warunkiem rozwoju sił wytwórczych i nowej techniki jest rozkwit nauk przyrodniczych, matematyki, fizyki, chemii, geologii, inżynierii, biologii itd.

Odbudowujemy i rozbudowujemy piękną socjalistyczną Warszawę, przystępujemy do budowy metra. Ileż problemów naukowych muszą rozwiązać w związku z tym nasi uczeni.

Budujemy potężny przemysł, nowe huty, elektrownie, kopalnie, fabryki cementowe, zwiększamy produkcję obrabiarek (dwudziestokrotnie w stosunku do okresu przedwojennego), tworzymy zakłady samochodowe, wielkie zakłady chemiczne, stocznie. Ileż nowych problemów stoje przed naszymi matematykami, fizykami, chemikami, inżynierami. Nasz przemysł potrzebuje surowców mineralnych — węgla, rud, nafty, soli, — nasi geologowie mają nie mało roboty przed sobą. Wzrasta z roku na rok nasza produkcja rolnicza i w żywszym jeszcze tempie wymagają rosnące miasta żywności, aprowizacji. Muszą więc nasi inżynierowie dobrze pracować, aby zapewnić polskiemu rolnictwu nowoczesne maszyny, dostosowane do naszych warunków, właściwych nawozów sztucznych, a nasi agrobiologowie nad wyhodowaniem lepszych odmian roślin i wydajniejszych gatunków bydła.

Walczymy o zdrowie ludności. Ileż tu pracy otwiera się przed naszymi uczonymi w medycynie i farmacji. W wysiłkach badawczych, które państwo ludowe otacza specjalną opieką i pomocą, w badaniach, do których włącza się cały nasz świat naukowy zebrany na Kongresie Nauki, możemy oprzeć się na wielkich zdobyczach nauki radzieckiej, od której byliśmy przed wojną odcięci.

W Związku Radzieckim w okresach pięciolatek stalinowskich, w trakcie budownictwa socjalistycznego, potężnie rozwinęły się siły wytwórcze, wyrósł ogromny przemysł i nowa technika. Towarzyszył mu niebywały rozwój nauki. Nauka radziecka zajęła już w wielu gałęziach (matematyka, fizyka, stronomia, poszczególne działy techniki, biologia, fizjologia itd.) przodujące miejsce w świecie. W oparciu o wielkie zdobycze nauki i potężny rozwój sił wytwórczych Związek Radziecki podjął obecnie wielkie budowle komunizmu, wykonuje stalinowski plan zalesienia obszarów stepowych i zmiany klimatu, buduje największe w świecie elektrownie wodne, kanały, zbiorniki wody, systemy melioracyjne, zmieniają bieg rzek stosując energię atomową, udoskonala uprawy zbóż i owoców, rozwija potężną gospodarkę hodowlaną, słowem, radykalnie przeobraża przyrodę dla potrzeb człowieka.

Tylko przy ogromnym długofalowym rozwoju nauki można i u nas wykonać Plan 6-letni, przygotować następne plany, stworzyć i w Polsce możliwość dla gigantycznych budowli komunizmu. Nauka socjalistyczna nabiera nowych własności, których nie posiadała w warunkach kapitalizmu i to właśnie istotnych dla jej rozwoju.

Jest to przede wszystkim ścisłe powiązanie nauki z praktyką, z praktyką budowy socjalizmu. Nauka wiąże się u nas z wykonaniem Planu 6-letniego. Jednym z podstawowych zadań Kongresu Nauki jest właśnie zbliżenie nauki do życia, do zadań Planu. Wyniki badań naukowych zarówno szczegółowych jak i ogólnoteoretycznych muszą znaleźć zastosowanie w praktyce produkcyjnej zakładów przemysłowych, stacji maszynowo-traktorowych, gospodarstw rolnych, szpitali itd. Nauka nie jest bowiem prywatnym zajęciem uczonego, lecz służbą społeczną.

Natomiast nauka w warunkach kapitalizmu często odrywała się od praktyki i głosiła hasła, które przeciwstawiały „wzniosłą", „czystą" naukę, jakiejś tam praktyce. Podam charakterystyczny przykład. W połowie wieku XIX znany fizyk Maxvell udowodnił teoretycznie, że istnieć mogą fale elektromagnetyczne o różnej częstotliwości. Parę dziesiąt lat później Hertz ustalił przy pomocy eksperymentu te fale. Gdy Hertza zapytano o możliwości praktycznego zastosowania jego odkrycia, odpowiedział, że nie widzi żadnego ich praktycznego zastosowania. Tymczasem już kilka lat później inżynier rosyjski Popow zastosował fale Hertza do przekazywania sygnałów na odległość, słowem stworzył podstawy radia, jednego ze wspaniałych wynalazków naszych czasów. Jasne jest, że gdyby teoretycy nie byli tak oderwani od praktyki, gdyby dbali o powiązanie swych teorii i odkryć z praktyką, nie tylko rozwój techniki, ale i rozwój samej nauki odbywałby się szybciej. Praktyka wzbogaca naukę, nauka żyje, pulsuje, rozwija się w powiązaniu z praktyką.

Nauka socjalistyczna, przezwycięża oderwanie teorii i praktyki, które cechowało naukę burżuazyjną i przyspiesza ogromnie zarówno rozwój nauk jak też wykorzystanie ich zdobyczy dla dobra człowieka.

Nauka socjalistyczna jest planowa. W związku z potrzebami budownictwa ustala się plany badań naukowych, które wytyczają zagadnienia istotne dla rozwoju narodu, gospodarki narodowej i mobilizują uczonych do ich rozwiązania. Nauka socjalistyczna wytwarza wreszcie coraz bogatsze formy kolektywnej, wspólnej pracy uczonych, nieraz z różnych specjalności. Powiązanie z praktyką, planowość, zespołowość to wszystko potęguje siły nauki i jej rolę w życiu narodu.

Pięknym przykładem jest tu biologia radziecka Miczurina i Łysenki. Akad. Łysenko poczynił swe wybitne odkrycia w ścisłym związku z potrzebami radzieckiego rolnictwa. Swe odkrycia naukowe sprawdzał początkowo na małych poletkach, ale zaraz potem setki kołchozów przenosiły doświadczenia na swe pola i same śledziły i sprawdzały wyniki jego metod. Wytworzyła się więc ścisła współpraca uczonych i przodujących chłopów. Podobnie współpracują radzieccy konstruktorzy, fizycy, chemicy z majstrami, racjonalizatorami, przodownikami pracy. I u nas rozwijają się formy współpracy naukowców i praktyków. Odbywają się spotkania i narady profesorów akademii górniczych i robotników naszych kopalń, agrobiologów i członków rolniczych spółdzielni produkcyjnych.

Do pracy naukokwej włączają się w ten sposób majstrowie, technicy, racjonalizatorzy, robotnicy, rolnicy. Mur, jaki kapitalizm budował między nauką a robotnikiem i chłopami, między nauką a narodem rozpada się w gruzy.

Nauka staje się coraz bardziej narodowa, w miarę jak naród nasz przekształca się w naród socjalistyczny.

Narodowa staje się nasza nauka przez to, że służy narodowi, że wszystkie swe siły oddaje Polsce Ludowej, budowie socjalizmu, sprawie pokojowej, twórczej pracy i obronie pokoju. Narodowa staje się coraz bardziej przez to, że do kadr naszych naukowców wlewa się młodzież z najszerszych mas narodu, z robotników i chłopów.

Narodowa staje się przez to, że w tworzeniu naszej nauki biorą udział nie tylko specjaliści naukowcy ale i specjaliści — robotnicy od warsztatów, od roli. Unarodowienie nauki otwiera przed nią ogromne perspektywy rozwojowe i sprawia że nauka staje się sprawą żywo obchodzącą każdego obywatela. Ta narodowa, bliska ludu nauka nie korzy się już czołobitnie przed obcymi wzorami pochodzącymi z Anglii, Ameryki czy Niemiec, nie patrzy lekceważąco na własną przeszłość kulturalną, tak jak to czyniła nieraz zarażona kosmopolityzmem nauka międzywojenna. Pełna poczucia swej wartości i wielkiej roli w życiu narodu nauka nasza z miłością sięga do przeszłości narodu, do naszych postępowych tradycji, do Kopernika i Kołłątaja do Staszica i Marii Curie-Skłodowskiej.

Nauka nasza wypisuje na swym sztandarze słowa Stanisława Staszica, wypowiedziane w r. 1814 na posiedzeniu założonego przezeń Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

„Umiejętności dopotąd są jeszcze próżnym wynalazkiem, może czczym tylko rozumu wywodem, albo próżnictwa zabawą, dopokąd nie są zastosowane do użytku narodu. I uczeni potąd nie odpowiadają swemu powołaniu, swemu w towarzystwach ludzkich przeznaczeniu... dopokąd ich umiejętności nie nadają fabrykom i rękodziełom — oświecenia, ułatwień, kierunku postępu".

Czesław Nowiński

(fragment z publicznego odczytu urządzonego staraniem Tow. Wiedzy Powszechnej)

STANISŁAW ARNOLD

NAUKA HISTORII

(Na I Kongresie Nauki Polskiej)

I Kongres Nauki Polskiej to wielki, przełomowy etap w rozwoju naszej nauki. Dokonamy na nim dokładnego obrachunku naszych pasywów i aktywów, poddamy gruntownej krytycznej analizie nasz dotychczasowy dorobek, zbadamy jego wartość naukową z punktu widzenia jedynej naukowej podstawy metodologicznej — marksizmu-leninizmu, ocenimy jego znaczenie w naszej wielkiej pracy: budowie socjalizmu, — i odrzucając to wszystko, co było w nim wstecznego, szkodliwego, wrogiego — wydobędziemy wszystkie elementy myśli postępowej, ustalimy drogę, po której winna dalej rozwijać się nauka polska, związana najściślejszymi więzami z wielkimi zadaniami, jakie stoją przed Polską Ludową i biorąca najbardziej czynny udział w ich realizowaniu.

Rzecz jasna, że ten nowy etap w rozwoju naszej nauki ma szczególniejsze znaczenie dla nauki historycznej, jako nauki, która ma spełniać poważną rolę w kształtowaniu się nowej świadomości społecznej, świadomości socjalistycznej. Burżuazyjna historiografia polska, stojąca na gruncie obrony interesów klas posiadających, państwa burżuazyjno-obszarniczego, jego polityki wyzysku i ucisku, zatruwała umysły społeczeństwa polskiego haszyszem rzekomo naukowego, a w gruncie rzeczy zdecydowanie antynaukowego, fikcyjnego i fałszywego odtwarzania przeszłości. Metodologiczne podstawy tej historiografi wiodły ku agnostycyzmowi w zakresie poznawania historycznego, ku zaprzeczaniu wszelkiej prawidłowości w procesie historycznymi, wszelkiego postępu. Starała się ona zakorzenić i utrwalić przekonanie, że podstawy ustroju kapitalistycznego opierają się na „przyrodzonych" człowiekowi, trwających stale, niezmiennych właściwościach psychiki ludzkiej i instytucjach, które tym właściwościom odpowiadały. Wynikało stąd szczególniejsze zjawisko ahistorycyzmu — właśnie u historyków! Ale już ten sam fakt stwierdza najdobitniej, jak nikłe były podstawy naukowe tych „naukowych" badań.

Wąsko-klasowe stanowisko burżuazyjnej historiografii Polski znajdowało swój wyraz w nacjonalizmie, w klerykalizmie, w kosmopolityzmie — tych wszystkich haszyszach, z których pomocą klasy panujące starały się odurzyć masy pracujące i utrzymać je w „posłuszeństwie". Dlatego też historycy burżuazyjni w swej olbrzymiej większości unikali problematyki, która by zatrącała o historię walki klasowej robotników lub chłopstwa, która by mówiła o roli mas w przeszłości, o ideach postępu w przeszłości i walkach o ich realizacje. Fałszowano proces historyczny zacierając, zamazując w nim walkę klasową klas wyzyskiwanych, aby znaleźć w ten sposób uzasadnienie dla jeszcze jednego haszyszu, potrzebnego dla utrwalenia władzy klas posiadających — mianowicie solidaryzmu.

Związani z klasami posiadającymi — historycy polscy byli całkowicie oderwani od mas ludowych od dążeń i marzeń tych mas, od stałej, uporczywej, wciąż narastającej walki o wyzwolenie społeczne, jaką te masy toczyły.

Wobec tego charakteru i roli historiografi burżuazyjnej — przed historykami polskimi w Polsce Ludowej stanęły dwa poważne zadania: podjąć walkę z tym, co istniało w świadomości szerokich mas jako wynik tyloletniego wpajania poprzez szkołę, pracę, literaturę popularną fałszywych obrazów przeszłości — oraz przystąpić do nowych prac badawczych, opartych na założeniach marksizmu-leninizmu, prac które dałyby wreszcie istotnie naukowe wyjaśnienie polskiego procesu historycznego.

W tych dwóch kierunkach szły prace postępowych historyków Polski w okresie przygotowawczym do I Kongresu Nauki Polskiej. Zadania ich zostały wyraźnie ustalone w obecnym etapie umacniania się frontu narodowego w Polsce, przekształcania się narodu polskiego w naród socjalistyczny. Wskazania, jakie dał w swym przemówieniu na 6 Plenum KC PZPR Prezydent Bolesław Bierut, pozwalają historykom Polski na jasne określenie drogi dalszego postępowania. Szczególnie ważne są postulaty, wiążące się w należytym postawieniem przedmiotu badań, tj. samego procesu historycznego. Dając obraz rozwoju narodu Polskiego w całej pełni procesu dziejowego, badanego na podstawach marksizmu-leninizmu, a więc w warunkach walki klasowej w okresie feudalizmu i kapitalizmu, badając cechy prawidłowości tego procesu a zarazem specyficzne cechy rozwoju bazy i nadbudowy — historycy polscy winni wydobywać także i to, co tak celowo było usuwane w cień albo wprost zacierane — mianowicie głęboki patriotyzm klas wyzyskiwanych, przeciwstawiający się egoizmowi klas posiadających oraz internacjonalizm, przeciwstawiający się kosmopolityzmowi i nacjonalizmowi zaprzaństwa i zdrady narodowej. Badania historyczne winny przedstawić istotny udział robotnika i chłopa w polskim procesie historycznym, jako procesie walk o wyzwolenie społeczne, łączących się w naszym procesie dziejowym wieku XIX i XX z walkami o wyzwolenie narodowe, które dzięki Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, dzięki rozgromieniu hitlerowskiego faszyzmu przez Związek Radziecki — doprowadziły do pełnej wolności społecznej i narodowej.

Oświetlenie tych walk musi iść w parze z wydobyciem wszelkich elementów postępu w przeszłości, musi ujawnić to, co się wiąże z pięknymi tradycjami naszej historii, a co może być słusznym powodem naszej dumy narodowej jako narodu budującego socjalizm. Jednocześnie z tym — i w związku z tym — historycy muszą wydobywać, demaskować, przygważdżać wszystkie kłamstwa i fałsze zarówno dawnej historiografii burżuazyjnej, jak i obecnych imperialistycznych falsyfikatorów historii i ich agentów, demaskować także wrogą dla narodu polskiego, dla jego bytu politykę państw imperialistycznych w przeszłości i obecnie.

Powyższe zadania znajdą głęboki wyraz w pracach Kongresu Nauki, zarówno w dyskusjach tyczących się zasadniczej problematyki, jak i w związku z opracowaniem form, dróg i możliwości praktycznego ich wykonania. Trzeba stwierdzić, że istnieją dziś wszelkie obiektywne przesłanki, a w szybkim tempie dojrzewają przesłanki subiektywne, aby nakreślone wyżej zadania zostały wykonane. Większość naszych historyków stoi dziś zdecydowanie na gruncie nowych założeń metodologicznych i wciąż wzrastająca ilość naszych uczonych, porwana przez rozmach budownictwa socjalistycznego, przez ogromne możliwości, jakie otwiera on przed nauką historyczną, wiąże coraz ściślej swą pracę naukową, pedagogiczną, oświatową z potrzebami życia, staje ideologicznie na nowym stanowisku. Dlatego już dziś można zarejestrować szereg poważnych osiągnięć w naszych pracach historycznych. W oparciu o założenia marksizmu-leninizmu, mając olbrzymią, niezawodną pomoc przodującej nauki radzieckiej, historycy polscy mają zamiar wyjść z Kongresu z pierwszym ogólnym planem badań naukowych w zakresie historii, jako zasadniczym elementem, włączącym polską naukę historyczną w Narodowy Plan 6-letni — a tym samym — w potężny nurt budownictwa socjalistycznego w Polsce. W służbie mas pracujących — nauka historyczna polska wejdzie zdecydowanie na drogę badań istotnie naukowych, istotnie postępowych, istotnie twórczych.

Stanisław Arnold.

IRENA MATYSIAK

Z DNI ODBUDOWY

Do trudu pierwszych dni odbudowy kraju, do tematu znanego nam z powieści Pytlakowskiego i Wilczka nawiązuje wydana w ramach biblioteki trzyzłotowej „Czytelnika" książka Żesławskiego o Mirkowie*). Książka ta jest jeszcze jednym ogniwem powojennej prozy powieściowej, związanej tematycznie z procesami produkcji i odbudowy, ambicjami swymi zmierzającej do realizmu socjalistycznego Powieść Żesławskiego wyciągnęła pewne wnioski z błędów swych poprzedniczek: nie zacieśnia problematyki do reportażu o procesie produkcyjnym, w szerszym stopniu pokazuje kolektyw robotniczy, który ten proces inicjuje i organizuje.

Akcja powieści umieszczona jest czasowo w pierwszych miesiącach 45 roku, terenem jej jest Mirków — osiedle fabryczne, w którym znajduje się jedna z najstarszych w Polsce papierni. Odbudowa całkowicie przez okupanta zniszczonej fabryki jest głównym problemem książki, jej duszą Jan Adamiec — stary partyjnik, komunista wychowany w ciężkiej szkole KPP. Przed wojną wyrzucony z fabryki jako jeden z organizatorów strajku, wraca po wyzwoleniu wzbogacony doświadczeniem wielu lat pracy i walki i natychmiast organizuje robotę. Sytuacja jest ciężka, pod Opolem i Wrocławiem trwają jeszcze walki, kraj jest zniszczony, pozbawiony najniezbędniejszych surowców inwestycyjnych, narażony na dywersyjną robotę rodzimej reakcji i jej sprzymierzeńców — spekulantów. Wśród mirkowieckich robotników atmosfera jest początkowo również dosyć kapitulancka, wobec czego rola Jana Adamca jest w pierwszej części książki nieco wyolbrzymiona, jednakże zorganizowany przezeń kolektyw robotniczy, bardzo szybko wyemancypuje się spod jego kierownictwa, wykształca własne kadry aktywistów, staje się siłą napędową dalszej akcji książki.

„Trzeba się zebrać, fabrykę choćby i te gruzy wziąć, właściciela wyrzucić... a potem do roboty". Do wykonania tak zakreślonych zadań przystępuje niewielki początkowo zastęp ludzi, rekrutujących się przeważnie ze starych komunistów. Fabryka zostaje odebrana właścicielowi, dyrektorem zostaje robotnik — doświadczony działacz partyjny Litwicki, organizuje się komórka PPR-u. Zapał i wytrwałość robotników odbudowujących farbykę oddziaływają i na innych, pozwalają rozszerzyć kolektyw, przekonują władze o konieczności i celowości odbudowy zniszczonego zakładu. Mimo wrogiej roboty spekulantów, dawnych właścicieli, którzy dzięki swym stosunkom, a z drugiej strony na skutek braku kadr zajmują jeszcze ciągle poważne stanowiska, mimo bezduszności i niejednokrotnie złej woli biurokratów, Mirkowiacy wykonują swe pierwszomajowe zobowiązania, pierwsza maszyna zostaje uruchomiona — „Mirków ruszył".

Kampania produkcyjna nie przesłoniła Żesławskiemu politycznego oblicza dokonujących się w Polsce procesów budowy nowego ładu społecznego. Książka dała właściwą, klasową interpretację zachodzących przemian, pokazała główny front walki, zdemaskowała i po imieniu nazwała wroga. Jest nim zarówno były właściciel mirkowskich zakładów Tokarski, który zająwszy poważną pozycję w układzie powojennych stosunków, usiłuje unicestwić wysiłki Mirkowiaków, opóźnić uruchomienie ich fabryki przez odwołanie złożonych przez nich terminowych zamówień na maszyny, jak i spekulant — pospolity przedstawiciel drobnomieszczaństwa, który łapówką, wódką, pogróżką wreszcie, stara się zwekslować świadomość robotnika na tory służenia jego prywatnym interesom.

Na trafnie dobranych przykładach pokazana została walka z biurokracją, groźnym reliktem ustroju kapitalistycznego, który opóźnia i utrudnia pracę ludowego państwa.

Zagadnienie walki klasowej, ustawione w założeniu słusznie, zostało jednak poprzez nie zawsze adekwatną transpozycję artystyczną osławione i zbagatelizowane — wróg klasowy, mimo iż wszędzie wysuwa swe macki, pozwala się bardzo łatwo unieszkodliwić, jest zelękniony i słaby. Takie rozwiązanie zagadnienia poważnie nadwerężą artystyczną prawdę powieści; rekompensuje ją rozległość spojrzenia autorskiego, spojrzenia, które widzi sytuację w skali ogólniejszej niż interesy mirkowskiej fabryki, w skali ogólnokrajowej, co pozwala skonstantować, że nie we wszystkich fabrykach i nie od razu inicjatywa przeszła w ręce robotników. Oddziaływanie robotniczego kolektywu Mirkowa na zewnątrz, przenoszenie swych osiągnięć na teren innych fabryk, z którymi się kolektyw styka, wola Partii jako czynnika inicjującego i koordynującego pracę kolektywu przedstawione zostały w książce Żesławskiego przekonywająco, i to jest niewątpliwie jej osiągnięciem.

Książka Żesławskiego odrzuciła tradycyjny schemat powieściowy, w którym pierwszą przyczyną, inicjatorem wszelkiej akcji bywał zazwyczaj inteligent. Zerwanie z fałszywą ideologicznie konwencją pozwoliło Żesławskiemu bohaterem swej książki uczynić prawdziwego robotnika, pozwoliło na taką organizację materiału, która w centrum książki, zgodnie z życiową prawdą postawiła klasę robotniczą. Inteligent inżynier zostaje w nowe budownictwo włączony dzięki twórczej, rewolucyjnej postawie robotnika, a nie na odwrót. Entuzjazm i twórczy optymizm jakim obdarzył autor swój powieściowy pozytyw, nie zepchnął Żesławskiego — jak się to często dzieje — na niewygodną dla obiektywnej analizy pozycję zachwytu. Przeciwnie — pozwoli mu dokonać przeglądu siły. Autor w trudnej sytuacji nie waha się pokazać niedociągnięć i załamań. Obok zwycięskiej choć na tym etapie nie całkowitej jeszcze rozprawy z elementami wrogimi widzimy ciągłe przezwyciężanie własnych ograniczeń, ciągłe wzmacnianie swych pozycji, widzimy jak w trudzie walki kształtuje się nowy, socjalistyczny stosunek do pracy. Sprawą centralną książki jest ustawienie problematyki po linii tworzenia nowego, socjalistycznego społeczeństwa przez świadomych i uświadamiających się w toku walki gospodarzy kraju — robotników. Sprawa w zasadzie prosta, ale jak wykazały doświadczenia trudna w transpozycji artystycznej ze względu na ogrom materiału, na złożoność procesu, na nawarstwianie się różnorodnych spraw i ich wzajemne zazębienie się.

Nie wszystkie trudności pokonał autor-debiutant. Uderzają naiwności formalne, uderza szablonowość i schematyzm postaci powieściowych, brak pogłębienia ich rysunku przychologicznego, powierzchowność w obrazowaniu skomplikowanych procesów świadomości. (przystąpienie do partii Bronki Adamcowej, czy inż. Wojdyny). Dlatego książka Żesławskiego nie jest jeszcze powieścią o wielkich dniach przejmowania przez klasę robotniczą władzy w nowej ludowej Polsce. Nie potrafiła ukazać ani patosu, ani skomplikowanych konfliktów tego trudnego czasu w świadomości swych bohaterów. Posiada jednak niewątpliwie wartość jako próba ocalenia dla pamięci społeczeństwa heroicznego wysiłku załóg robotniczych, które podejmując się wśród niesłychanych trudności uruchomienia zniszczonych zakładów, położyły fundamenty dla dzieła wielkiej przebudowy naszego życia.

Irena Matysiak

*) *Władysław Żesławski — „Mirków ruszył" — Czytelnik — Warszawa — 1950.*

PRASA POKOJU

Kiedy mówimy o mobilizującej i wychowawczej roli gazety i dziennikarza, specjalnie jaskrawo uwydatnia się kontrast między „wczoraj" i „dziś" prasy polskiej, na przykładzie toczonej przez nas wielkiej kampanii pokojowej.

Jakąż bowiem robotę wykonywała gazeta w sanacyjnej Polsce? Pamiętamy jeszcze ohydną nagonkę całej, łącznie z PPS-owskim „Robotnikiem", prasy polskiej na Czechosłowację. Wiemy kto za to płacił: polska burżuazja, niemiecki wywiad i polska „dwójka".

Pamiętamy nagonkę na Francję w okresie zwycięstw Frontu Ludowego, szkalowanie republikańskiej Hiszpanii, czy wreszcie podsycanie nienawiści do Żydów, Litwinów, Ukraińców i Białorusinów.

A nade wszystko pamiętamy dobrze ten zgrany, ponury chór od „Narodowego Dziennika Warszawskiego", od „Małego Dziennika" i „Falangi", poprzez „Gazetę Polską" i „IKC" aż do „Dziennika Ludowego" — p. Zaremby, chór głoszący antyradziecką krucjatę.

Kogo zaś chwaliła, komu kadziła polska gazeta przedwojenna? Mussoliniego i Hitlera, Franco i cesarza Hirohito, Horthy'ego i Codreanu, wodzów państw faszystowskich, zbrodniarzy i szaleńców, którym kapitał międzynarodowy dał broń do ręki. Ta broń miała zniszczyć ZSRR. I stąd peany w polskiej prasie przedwojennej. Ale ta broń zniszczyła też — 6.000.000 Polaków. Dlatego tak jasno, tak przeraźliwie wyraźnie widać zdradziecką, antynarodową postawę prasy Polski burżuazyjnej.

Zdradziecką i antynarodową, bo walczącą przeciw pokojowi, bo siejącą nienawiść do innych narodów, bo gloryfikującą morderców i podżegaczy wojennych.

Weźmy do ręki gazetę wychodzącą w Polsce Ludowej, w roku 1951, siódmym roku Wolności, drugim Planu Sześcioletniego. W roku, w którym płonie podpalona przez imperialistów Korea, w którym na Zachodzie szaleje Eisenhower, odbudowując hitlerowski Wehrmacht, w roku, w którym pp. Attlee, Schuman i Acheson atakują nasze granice zachodnie.

Czy znajdziecie na szpaltach gazety szczucie przeciw ludowi amerykańskiemu, angielskiemu, francuskiemu czy niemieckiemu, czy dojdzie Was, spośród czarnych wierszy artykułów, dźwięk pobrzękiwania szabelką, odgrażania się innym narodom?

Nie — znajdziecie tam szacunek, miłość i braterstwo dla wszystkich ludów, wszystkich narodów świata. Bo też — my wiemy, że one są z nami, że myślą tak jak my, że jak my nienawidzą imperializmu i wojny, że razem z nami walczą o Pokój.

Najczęstszym słowem naszej prasy jest Pokój. Piękne, skrzydlate, porywające słowo. Tym słowem witają się u nas robotnicy na wielkich budowach, naukowcy w laboratoriach, zakochani w wiosenne wieczory, to słowo, jak sztandar wznoszą do góry pisarze i poeci.

Kawes

STEFAN STĘPIEŃ

PRZESTROGA HISTORII

Dziesiąta rocznica zbójeckiego napadu hord hitlerowskich na Związek Radziecki przypomniała całemu światu, a zwłaszcza krajom demokracji ludowej, które Armii Czerwonej zawdzięczają swe wyzwolenie społeczne i narodowe, ile ludzkość cała i masy pracujące całego świata zawdzięczają bohaterskiemu Krajowi Rad, partii Lenina — Stalina i genialnemu organizatorowi zwycięstwa nad zwyrodniałym faszyzmem hitlerowskim — Józefowi Stalinowi.

Geneza całej drugiej wojny światowej i napaści Hitlera na Związek Radziecki jest już dziś całkowicie wyjaśniona i nie budzi żadnych wątpliwości.

Pełna odpowiedzialność za drugą wojnę światową obciąża monopolistów finansowych anglo-amerykańskich i ich wasali i wspólników, którzy zaślepieni w swej nienawiści do kraju zwycięskiego socjalizmu ZSRR, poparli odradzający się militaryzm niemiecki, łudząc się, że siłami osi Berlin — Rzym — Tokio potrafią dokonać tego, czego nie udało im się zrealizować w latach 1917 — 1921 w latach pierwszego najazdu kapitalistycznego na Kraj Rad — a więc wykreślić z mapy świata pierwsze w dziejach ludzkości państwo robotników i chłopów.

„Rewolucja Październikowa zadała kapitallizmowi światowemu — mówił Stalin — śmiertelną ranę, z której nie wyleczy się on już nigdy. Właśnie dlatego kapitalizm nigdy już nie odzyska z powrotem tej „równowagi" i „trwałości", jakie posiadał przed Październikiem. Kapitalizm może częściowo ustabilizować się, może zracjonalizować swoją produkcję, oddać rządy kraju faszyzmowi, zgnębić chwilowo klasę robotniczą, lecz nigdy nie odzyska z powrotem tego „spokoju" i tej „pewności siebie", tej „równowagi" i tej „trwałości", jakimi chełpił się dawniej, albowiem kryzys kapitalizmu światowego doszedł do takiego stopnia rozwoju, kiedy płomienie rewolucji nieuchronnie muszą wybuchać bądź w ośrodkach imperializmu, bądź też na peryferiach, obracając wniwecz kapitalistyczną łataninę i z każdym dniem czynią bliższym upadek kapitalizmu.

I stąd ta nienawiść kapitalistów i wyzyskiwaczy wszystkich krajów do Związku Radzieckiego, który hasła Rewolucji Październikowej zamienił na rzeczywistość.

Ale w tej swojej nienawiści i wynikającym z niej awanturnictwie wojennym imperialiści anglo-amerykańscy, z charakterystyczną dla ginącej klasy krótkowzrocznością przecenili siły i możliwości świata kapitalizmu, i nie docenili sił i możliwości rozwoju świata socjalizmu.

I dlatego ta druga próba zbrojnego obalenia władzy radzieckiej zakończyła się jeszcze bardziej sromotnie niż pierwsza próba niesławnej interwencji w latach bezpośrednio następujących po Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Kapitulacja faszyzmu niemieckiego i japońskiego pod ciosami bohaterskiej Armii Czerwonej umożliwiła pełne wyzwolenie społeczne i narodowe 600 milionów ludzi żyjących w 11 państwach Europy i Azji.

Wspaniałe zwycięstwo Kraju Rad, będące skutkiem wyższości całego ustroju socjalistycznego, jego PLANOWEJ GOSPODARKI, BRAKU wewnętrznych SPRZECZNOŚCI KLASOWYCH I NARODOWOŚCIOWYCH, rozsadzających od wewnątrz kraje kapitalistyczne, oraz przedziwnej, nieznanej dotychczas w dziejach ludzkości JEDNOŚCI POLITYCZNO - MORALNEJ wolnych narodów radzieckich — rozbiły ten mur kłamstwa i oszustwa wznoszony przez tyle lat wokół pierwszego w świecie państwa socjalizmu.

To zwyciestwo, jak również wspaniałe wyniki pokojowego budownictwa w ZSRR, oraz przy jego pomocy i burzliwy rozwój gospodarki i kultury krajów demokracji ludowej dowiodły masom pracującym całego świata, a zwłaszcza ludom kolonialnym eksploatowanych przez drapieżny i bezwzględny międzynarodowy kapitał finansowy, że świat bez wojen, podbojów, ucisku, wyzysku, ciemnoty i nędzy — to nie marzenie nie do zrealizowania, ale rzeczywistość JUŻ ZREALIZOWANA w ZSRR, a MOŻLIWA DO REALIZACJI na obecnym etapie rozwoju ludzkości na całej kuli ziemskiej.

Druga wojna światowa przyniosła więc ogromny wzrost siły, znaczenia w swiecie i autorytetu Związku Radzieckiego, ktory przez miliony ludzi na całym globie ziemskim uznany został za główną ostoję pokoju i postępu w świecie i głownego obrońcę narodów przed ludobójczymi planami imperialistów i podżegaczy wojennych.

Takie to niezamierzone przez kapitalistów, ale jakież zgodne z prawami rozwoju społeczeństw ludzkich (które skazują na bezpłodność wszelkie wysiłki ginących klas) przyniosła od wielu lat planowana i przygotowywana a rozpoczęta 22 czerwca 1941 r. napaść na Związek Radziecki.

Z tej niedawnej lekcji historii płynie groźne ostrzeżenie dla obozu imperialistycznego, którego historia wojenna wzrasta w miarę wzrostu sił Związku Radzieckiego, zwycięsko realizującego budowę komunizmu, w miarę niepowstrzymanego rozwoju krajów demokracji ludowej i umacniania się światowego obozu pokoju z jego trzonem — partiami robotniczymi i komunistycznymi całego świata.

Oddźwięk z jakim konstruktywne propozycje radzieckie, gwarantujące utrzymanie pokoju przyjmowane są przez niezależną opinię publiczną całego świata, wbrew wykrętnej polityce rządów kapitalistycznych, przebieg plebiscytu pokoju w wielu już dziś panstwach, wyniki wyborów we Francji i we Włoszech, klęska polityczna, poprzedzająca ostateczną klęskę militarną agresorów amerykańskich i ich wasali w Korei — wszystko to wskazuje jak rosną siły i wola zwycięstwa proletariatu, jak coraz więcej realnych i ważkich sił społecznych przechodzi z pozycji rezerwy kapitału na pozycję rezerwy proletariatu, jak tym samym rosną i siły obozu postępu i pokoju, które coraz skuteczniej obracają w niwecz plany imperialistów i podżegaczy wojennych.

„Pokój będzie zachowany i utrwalony — wskazuje Stalin — jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą broniły jej do końca".

Naród nasz, pod przewodnictwem klasy robotniczej i jej Partii kroczy zdecydowanie po tej drodze wskazanej przez Stalina, realizując wielki 6-letni Plan pokojowego budownictwa, walcząc w ścisłej łączności z całym światowym ruchem obrońców pokoju o pokrzyżowanie planów imperialistów i podżegaczy wojennych.

Przez 10 lat, które upłynęły od 22 czerwca 1941 roku zmieniła się zasadniczo sytuacja i układ sił w świecie. Związek Radziecki dzięki wspaniałym swym osiągnięciom gospodarczym i kulturalnym stał się najpotężniejszym państwem na świecie, realizującym dziś wielkie dzieło przeobrażenia przyrody i całej bazy ekonomiczno - technicznej swego kraju, zajmującego szóstą część wszystkich lądów świata, dla zbudowania ustroju komunistycznego. Pomyślnie i szybko w przeciwieństwie do drepcących w miejscu lub cofających się krajów kapitalistycznych, rozwija się gospodarka i kultura krajów demokracji ludowych.

Wyzwolenie Chin, powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, spotęgowanie się walk narodowowyzwoleńczych na Korei, w Vietnamie i na Filipinach, wzrost nastrojów rewolucyjnych zarówno w krajach Europy Zachodniej (zwłaszcza we Francji i Włoszech), jak i w krajach kolonialnych i półkolonialnych (Iran!), masowy rozwój ruchu obrońców pokoju — wszystko to niepomiernie umacnia obóz pokoju i demokracji, a podważa u samych podstaw istnienie kapitalizmu. Dlatego narody świata pragnące pokoju z otuchą spoglądają w przyszłość, wiedząc, że jak mówił Stalin: „pokój będzie zachowany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą jej broniły do końca".

Stefan Stępień.

ARMIA WYZWOLENIA

Stanisław Majcher,

RĘKĄ OD PŁUGA...

...Wspomnienie to kreślę ręką twardą od pługa, aby świadomość naszej wdzięczności nie zatarła się w umysłach naszych.

My, Polacy, szczególnie powinniśmy być wdzięczni bohaterskiej i niezwyciężonej Armii Radzieckiej, która w imię wolności narodów, poświęciła swych synów i zrosiła obficie swą krwią ziemie nasze, aby nas wybawić od całkowitej zagłady.

Bratni nasz naród radziecki z genialnym Wodzem Józefem Stalinem na czele, uzbrojony w miłość do swej socjalistycznej Ojczyzny, rzucił się jak lew na wroga pod Stalingradem...

Dla nas, Polaków, była to błoga chwila, gdy nadzieja wracała nam do serca.

Bośmy dobrze zdawali sobie sprawę z teyo, że jak nie przyjdzie wybawienie od wschodu, to skądinąd spodziewać się go nie można...

Partyzantka nasza przygotowuje plany działania, aby jak najszybciej wziąć wroga w krzyżowy ogień i przepędzić go, gdyż żołnierz zdezorientowany nie jest zdolny do skutecznego oporu. Mądre i rzeczowe było działanie naszej partyzantki z partyzantką radziecką. Faktem jest, że okolice rzeszowskie oraz lubelskie zostały wybawione ponad wszelkie oczekiwanie; Niemcy uciekali stamtąd bez czapek i rynsztunku, gnani ogniem, a szczególnie prażeni ogniem z „Katiusz".

Śliczny sierpniowy dzień 1944 roku, to dzień, w którym zobaczyliśmy pierwszych żołnierzy radzieckich.

Celina Jaśmiaczyk

WSPOLNA JEST NASZA SPRAWA

Na wzgórzu stoi żołnierz hitlerowski ubrany na biało. Przyłożył lornetkę do oczu i długo patrzał na wschód. Nagle drgnął. Naciągnął kaptur na głowę, rękawice na ręce i na pół biegnąc podążył na zachód...

...W tej chwili w oddali zamajaczyły ciemne punkty. Przyśpieszyłam kroku, by czym prędzej dobiec do domu, gdy wtem rozległ się głośny tętent konia i nim zdążyłam się odwrócić, drogę zajechał mi jakiś jeździec.

— Panienko, czy tu są germańcy? — zapytał...

...W tym czasie nadjechało więcej żołnierzy. Jak urzeczona obserwowałam ich z boku.

...Ojciec, szukając w swym słowniku dość serdecznych słów powitania, wybiegł naprzód, wołając: „Zdrawstwujcie gaspadin!" Rozpromieniła się twarz oficera, w szczerym uśmiechu błysnęły białe zęby, skoczył z konia: „Już nie gaspadin, lecz towarzysz! To-warzysz!" — powtórzył dobitnie. W serdecznym uścisku zwarły się ich dłonie. A my zrozumieliśmy, że w tym jednym słowie „towarzysz" otwiera się przed nami całkiem nowe życie, nowa era! Czuliśmy, że tych ludzi, którzy przybyli z daleka, łączy z nami walka o wspólną sprawę.

Zenon Pastuszko

BY ROBOTNIK I CHŁOP MÓGŁ TWORZYĆ NOWY SWIAT

Wydostawszy się z tłumu ludzi wyciągnąłem rękę po gazety. Otrzymałem ich kilka. Na pierwszej stronie lubelskiego „Głosu Ludu" widniał dużymi literami napis podkreślony czerwoną farbą; musiało to być bardzo ważne, więc zaraz wysylabizowałem:

„Walki na przedpolach Warszawy, ofensywa trwa. Dziś wyzwolono Radom, Ostrowiec i ponad dwieście innych miejscowości. Wojska radzieckie i polskie prą na Berlin".

Byłem wprost oszołomiony radością, nie pamiętam do dziś, jak znalazłem się w domu.

Artyleria waliła już coraz dalej i ciągle dalej. Nastrój wśród ludzi był jakiś inny, radosny. Dni wyzwolenia nakazywały nam szybko zacierać ślady wojny, zagospodarowywać kraj zniszczony wojną i okupacją.

— Jutro będą przeprowadzać reformę rolną w okolicznych wsiach — zagadnął ojciec do sąsiada... — Trzeba zakończyć ją jeszcze przed wiosennym siewem.

— Wielkie przemiany społeczne dokonane w naszym kraju dzięki Armii Radzieckiej muszą być należycie wykorzystane dla nas, robotników i chłopów.

I wszystko poszło tym trybem. Wszędzie powstawały Rady Narodowe (terenowe władze ludu), tworzyły się szeregi Milicji Obywatelskiej, aby robotnik i chłop mógł spokojnie tworzyć nowy świat. Każdy rok pracy przynosił nowe sukcesy, nowe osiągnięcia, z których jesteśmy dumni. Dzisiaj, chociaż warczą maszyny, dymią kominy fabryk, a na polach coraz więcej jest traktorów, myśli nasze jednak biegną do chwili stycznia i wyzwolenia, usta niemal że same powtarzają, że gdyby nie zwycięska ofensywa Armii Radzieckiej, nie byłoby tych osiągnięć.

Stefan Jacorzyński

FABRYKA RUSZA

O godzinie 10.15 huk wstrząsa najbliższą okolicą. To Niemcy wysadzili most na rzece. Wychodzimy z kryjówek. Most wyleciał w powietrze, więc ostatnie patrole niemieckie przeszły. Za godzinę — dwie zobaczymy pierwsze oddziały polskie lub sowieckie. Grupami gromadzimy się na ulicy.

Jest godzina 12.30. I nagle! Z bocznej uliczki wysuwa się kilkunastu chłopców. Każdy z karabinem w ręku gotowym do strzału. Poznajemy ich. To żołnierze Armii Czerwonej. Idą roześmiani, żywo coś opowiadając. Na czele wesoły, może osiemnastoletni zawadjaka z orderem na piersi i oznaką sierżanta na ramionach, z szerokim uśmiechem na ustach. Wyrywa się nam westchnienie ulgi. Skończona niewola. Skończony strach przed banderowcami, SS i gestapo. Jesteśmy wolni.

— Cóż, Fryców tu nigdzie nie ma?

— Nie, nie ma.

Sierżant wchodzi do mego mieszkania, rzuca okiem na otwartą książkę.

— Wy Polak?

— Tak.

— No to tu Fryców nie ma. Dajcie wody. My druhy.

Podaję wodę. Pytam, czy nie jest głodny.

— Nie, jedliśmy przed szturmem.

O godzinie 15.30 przed fabryką zajeżdża wojskowy samochód, z którego wysiada dwóch sowieckich oficerów. Po chwili przybiega robotnik i wzywa mnie do wnętrza budynku. Jeden z oficerów zwraca się do mnie:

— Pracowaliście tutaj?

— Tak.

— Wasza narodowość?

— Polak.

— Jaką pełniliście funkcję?

— Byłem magazynierem.

— Wasze wykształcenie?

— Pedagogiczne.

— No, to spodziewam się, że potraficie poprowadzić fabrykę. Wiem, że jako Polak staniecie uczciwie do pracy. Fabryka musi pójść jak najrychlej. Jutro o dziesiątej przyjdziecie do magistratu na wspólną naradę. Już dziś angażujcie robotników i zabezpieczcie pozostały majątek.

Podajemy sobie ręce.

Zgromadzeni robotnicy owacyjnie przyjmują decyzję oficera i obiecują uzyskać jak najlepsze wyniki w produkcji. Słowa, dotrzymaliśmy. Zanim skończyła się wojna, zdobyliśmy przechodni sztandar za przedterminowe uruchomienie fabryki i wyścig pracy.

Leokadia Kasze

PIERWSZE SPOTKANIE

Przychodzą oficerowie. Jeden z nich najstarszy rangą utyka na nogę. Jest wysoki i jasnowłosy. Ma subtelną twarz, o mądrych szarych oczach. Przyglądam się mu z niekłamaną ciekawością. Na powitanie podają nam ręce. Siadają. Po chwili jesteśmy przyjaciółmi. Któryś przynosi dwie świece i zapala. W pokoju robi się widno i wesoło. Rozwijają z papieru słoninę, kroją w kawałki i częstują. Chcemy wyjść do drugiego pokoju, aby oficerowie mogli się położyć. Proszą, żeby nie odchodzić, bo i tak spać nie będą.

— Daleko Berlin?

Nachyleni nad mapą obliczamy kilometry.

— Daleko — odpowiadają.

Ale zaraz machają beztrosko rękami, co oznacza, że to dla nich nie ma znaczenia. Daleko czy blisko — oni i tak tam będą.

Synowie ludu promowani na oficerów Wojska Polskiego.

— Doczka — mówi oficer i kładzie dłoń na głowie dziewczynki.

Potem porywa chłopca i podnosi go wysoko w górę. Jestem przygotowana na to, że malec rozpocznie wrzask. Ale nic podobnego. Macha bosymi nóżkami i śmieje się. Kiedy leży znów w łóżeczku, wyciąga rączki i woła:

— Jeszcze!

— U mnie taki sam w domu — powiada oficer. — A wasz mąż?

— Poszedł z wojskiem w 1939 i nie wrócił.

— A to napewno z nami, z nami mnogo waszego luda.

Chwyta czapkę z czerwoną gwiazdą i mówi:

— Tu wasz żołnierz ma polskiego, orła. Wy i my razem.

Ujmuje moją dłoń i potrząsa nią.

— Nie smućcie się, wasz mąż wróci...

Tadeusz Siderowski

JASNOWŁOSA Z CZOŁGU

Hitlerowcy zabrali mnie do Chełma i wsadzili do więzienia, uważali bowiem, że mogę być szkodliwy na posadzie pocztowca, a w więzieniu będę napewno unieszkodliwiony. Mieli nas wywieźć dalej lub rozstrzelać, ale do tego już nie doszło. Wojska radzieckie deptały im po piętach. Miałem głowę pełną czarnych myśli, tak czarnych i ciemnych jak krata więzienna i ściany izby, w której czekałem na śmierć. Z ulicy dolatywał mnie gwar i strzelanina. Sądziłem, że lada chwila przyjdą po mnie i rozwalą. I los mój przyszedł. Ale o dziwo — nie był to gestapowiec z nahają i rewolwerem w ręku, lecz miła uśmiechnięta dziewczyna o jasnych, roztrzepanych włosach i oczach niebieskich.

— Panie, wychodź z ciemnicy, Niemców już niema, jesteś wolny, my wygnaliśmy faszystów.

Na dworze jasnowłosa powiedziała:

— Jestem Galina, telegrafistka z czołgu.

A po chwili dowiadywała się ciekawie, gdzie jest mój dom. Powiedziałem. Ucieszyła się i zawołała:

— My też pojedziemy, bo tamtędy nasza droga! Zabiorę Was do Waszego domu i rodziny, żebyście już nie tęsknili.

Jechałem więc czołgiem do Zabrodzia z jasnowłosą. Wojska radzieckie zatrzymały się na jakiś czas w naszych stronach. Dziewczyna opowiadała mi o swojej ojczyźnie, a ja o naszym życiu. Zaprzyjaźniliśmy się.

Wreszcie wojsko opuściło Zabrodzie, poszło dalej ścigać wroga. Wraz z wojskiem odjechała jasnowłosa dziewczyna z Kaukazu. A ja zostałem i w ciągu tych wszystkich lat wspominam ją z rozrzewnieniem. Pamięć o niej wzmaga we mnie chęć budowania szczęścia mojej ojczyzny.

Jan Wróblewski

BYLE DO SWOICH

Już od trzech dni słychać głuchy huk. To grają „Katiusze". W powietrzu czuć swąd prochu i mdlący zapach krwi. Z polowego lazaretu dobiegają skamlące jęki rannych hitlerowców.

Nad samym wieczorem, opodal pod wzgórzem ustawiają działo. Pada charcząca komenda oficera. Pociski jeden za drugim ze złowrogim wyciem zrywają się w pobliskim lasku. Tam już nasi. Wokół płoną krwawe pochodnie ciężarnych stodół — a w nich całoroczna praca.

O jedenastej ucisza się.

Kocieba idzie do chaty. Na ławach siedzą: Walenty, Orłowski i Orpik sprzeczając się o szarżę w wojsku radzieckim. W kącie na słomie śpią dzieci, a stara Wojciechowska przebiera paciorki różańca.

Co jutro przyniesie? Czy wszyscy będziemy żywi i wolni? Przecież i dzisiaj faszysta zastrzelił Stefcię Minkiewiczów bez żadnej przyczyny. Na samo wspomnienie żal zalewa mi serce. Ze Stefką znaliśmy się od młodych lat, chodziliśmy razem do szkoły, a teraz...

Szary świt. Nagle w sieni stuk i we drzwiach staje ryżawy lejtnant Niemiec. Fala grozy owiała serce. Wszystkie oddechy zamierają na chwilę. Tłumaczy, że wszyscy musimy usunąć się na 20 km, gdyż tu będzie pierwsza linia.

— Alles fort... schnell!

Z piersi kobiet wyrywa się bolesne westchnienie. Jak to? Znów do Niemców? W ostatniej chwili przed wyzwoleniem! Gdzieś w głębi duszy rodzi się bunt: „Nie pójdziemy!... Dosyć!... Pięć lat niewoli"...

— Chłopcy — powiada Kocieba — trzeba się przebić nim zaciągną stały front.

Trzeba. Wojciechowska ładuje pierzyny na furę. Górny i Felek w gorączkowym pośpiechu zaprzęga konie.

— Zurück!... Zurück!... — ryczy oficer.

Konie ponoszą... Trzysta metrów. Wóz rozrywa się. — Cholera! Rozwora pękła! — klnie Felek. — Boże! Boże!... — gorączkuje się Wojciechowska.

Przepadliśmy! Felek z Kociebą starają się naprawić. Ręce im drżą. Nie mogą utrafić w otwór. Ułamki sekund stają się wiekami. Nagle Kocieba syka z bólu. Dostał po palcach. Felek zacina znów konie... Dwieście metrów... Odzywa się karabin maszynowy. Czyjś krzyk. Jeszcze sto metrów. Dech zapiera w piersi. Przed nami rozrywa się pocisk.

Jeszcze pięćdziesiąt metrów... I nagle... Jak spod ziemi wyrasta łańcuch tyraliery szarych, umorusanych ziemią postaci.

— To nasi — szepcze Górny.

— Towarzysze! — woła Kocieba.

— Towarzysze... staram się wykrztusić, lecz słowa grzęzną w krtani. W oczach czuję wilgoć... Towarzysze... pięć lat was... — Kocieba łka jak dziecko. Przytulił się do smagłego Tatara i całuje automat.

— Pajeżżaj chaziaj... Skariej — krzyczy oficer.

Za nami rozrywa się drugi pocisk. Potem trzeci, czwarty... Lecz my jesteśmy już bezpieczni. Za nami przecież żołnierze Armii Radzieckiej.

Wschodzi słońce. Po pięciu latach prawdziwe słońce Wolności.

Juliusz Krajewski

Na lubelszczyźnie w 1944 r.

Kosiński Leon

MAMO, POLSKA JEST!

Miałem wówczas zaledwie trzynaście lat. Zastępowałem ojca i braci, których hitlerowcy powywozili do obozów pracy. Zostałem więc głównym żywicielem rodziny. Niełatwe to było dla mnie zadanie. Matka popłakiwała nad swoim losem, co mnie jeszcze bardziej odbierało siły i ochotę do życia.

Czy doczekam się kiedyś Polski i innego życia?

Pamiętam ów dzień, kiedy w naszym domu zaczął się ruch, a sąsiadka wołała wniebogłosy: „Ludzie! Wojsko maszeruje! Chodźta zobaczyć!". Wybiegłem z domu i wcisnąłem się w tłum.

...Ujrzałem czołg i grupę żołnierzy. Z ust tych żołnierzy padały polskie słowa! W pierwszej chwili zaniemówiłem. W głowie powstał chaos, w sercu poczułem jakieś dziwne, błogie uczucie. Z oczu pociekły mi łzy. A gdy jeden z żołnierzy doszedł do mnie i kładąc mi rękę na ramieniu rzekł: „No, cóż mały, czy pójdziesz z nami?", zdawało mi się, że jestem niemową, i w odpowiedzi kiwnąłem twierdząco głową. Ja przecież z nimi, z tymi bohaterami, poszedłbym nawet na koniec świata!

Pobiegłem do domu, by podzielić się z matką radosną nowiną. Już na samym progu krzyknąłem: „Mamo, Polska jest!".

Kiedy przechodzę nieraz z matką obok miejsca wiecznego spoczynku radzieckich żołnierzy, którzy przybywając hen z daleka poświęcili życie dla naszej wolności, to czerwone gwiazdy nad ich głowami wydają się być jeszcze czerwieńsze, jeszcze bardziej pełne blasku!

Im zawdzięczamy naszą wolność, życie i tego nigdy nie wolno nam zapomnieć.

Fragmenty wypowiedzi z księgi „Wyzwolenie". Wyd. Ministerstwo Obrony Narodowej (1951 r.), pod red. Krystyny Żywulskiej.

STANISŁAW PIĘTAK

PIERWSZE STARCIE

ŻONA Wojtka, Marysia, dwudziestoletnia kobieta, z żółtą od pracy twarzą, niespokojnymi, siwymi oczyma i zlekka już pogrubiałym w ciąży brzuchem, podniosła się od pniaka, gdzie zbierała na ramiączka drwa i rzekła cicho:

rys. S. Gierowski

— Chojnacki obrabiał przecie nas co roku, idź najpierw do niego.

— Nieprzyjemnie tam iść, gotów znowu naigrawać się i robić przytyki, żeśmy wzięli pole.

— Co tam, głowa nasza powinna wiele wytrzymać. Byle pojechał, zasiał, to najważniejsze.

Wojtek rozrąbał ostatni klocek drzewa, otarł pot i usiadł na pniaku. Żona, niosąc w jednej ręce wiadro wody, w drugiej drwa, zbliżała się już ku domowi i przywoływała kury do sieni. Naprzeciw domu Chojnackiego parskały konie popędzane w kieracie przez dziesięcioletniego brzdąca, ze stodoły leciał śmiech i hałas, rżnęli tam sieczkę.

— Wszystko jedno, pójdę — zdecydował Wojtek. Zakurzył papierosa i naciągnąwszy kaszkiet na prawe ucho, drobny z postawy, ale krępy i rzucający się w oczy z racji smagłej, cygańskiej niemal twarzy i czarnych, pięknych oczu. Przelazł przez dziurę w płocie na obejście swego sąsiada. Chojnacki oczywiście nie wyszedł mu naprzeciw, zachował się tak, jakby wcale nie zauważył gościa, nakładał słomę, krzyczał na najstarszą córkę, by z większym pośpiechem odgarniała sieczkę i dowcipkował z kimś siedzącym w zapolu na sianie.

Nagle zawołał. — A, to ty, Suchy? Sprzykrzyła ci się twoja baba i do Staszki mojejś przyszedł!

— Chciałem, byście mi dali koni do orki — wyszeptał Wojtek, lecz zbladł, bo wysoki, z długim jak dziób nosem i rudymi wąsami Chojnacki parskał śmiechem w dalszym ciągu.

— Odrobię, dajcie, dajcie...

— A gdzież to chcesz orać? Gdzie ty masz pole? Na tej półmordze, co ci Marysia wniosła, zasiałeś żyto przecież.

— Będę oraz na tym, com dostał.

— Co? Przecie wieszać będą za to, gdy kto nie odda dworskiej ziemi. Rzuć hektary, ratuj życie, Wojtuś.

— Ja po sprawiedliwości otrzymałem.

— Tak? Idź więc do tych po konie, co ci hektary dali.

— Wy nie pojedziecie?

— Idź, pókim dobry — zatrząsł się naraz Chojnacki i czerwieniejąc na twarzy, wyszedł przed stodołę.

— O co wam idzie?

Słyszysz, Karol, słyszysz? — odwrócił się Chojnacki do siedzącego chłopa w zapolu. — Dziady zaczynają rezykować, stawiać się, dzisiaj hrabiego zniszczyli, jutro zniszczą nas, gospodarzy. Kto cię to, Suchy, uczy rozumu, byk, kozieł, czy kulawy pies? A do kościoła, do spowiedzi i całować nas po rękach, byśmy ci znowu pozwolili żyć!

Wojtek trząsł się od gniewu.

— Przyjdzie jeszcze czas, doczekam się zmiany, skopię ja was, tak jak wy dzisiaj mnie. Nie wypuszczę ja waszych słów z pamięci.

— Poszedł precz! — huczał już Chojnacki — bo ci kulką poświecę, cholero jedna! Nie doczekasz się ty zmiany, dziadu, przyjdziesz do mnie, będziesz żebrał, abym cię wziął do roboty, a ja ci dam żarcie na tym, co pies je.

* * *

— No i co? — spytała go żona, kiedy wszedł.

Stała przy blasze, trzymając dziecko na ręku i mieszała łyżką w ziemniakach, które się już gotowały.

— Ech, pieskie nasze życie! — zawołał i nie chciał mówić, dopiero przy kolacji coś nie coś wybąkał.

— Trudno — odezwała się — trzeba szukać innej rady. Pojedziesz na krowie naszej, pług da ci Jasiek, brat twój, szleję dostaniesz od Pawła Brzęczki. Zasiać trzeba.

— Wiśniocha nasza nie poradzi, chuda, nie ma sił.

— Nie bój się, powoli zrobi, da ziemi radę.

— Więc mam iść od Jaśka?

— Idź, idź, robi się ciepło, każda minuta jest droga.

Brzęczkę zastał właśnie przed domem. Stał przy wrotach i żegnał się z synem, dwudziestoparoletnim, ogorzałym wysokim milicjantem.

— Franek, robi się ciemno, nie kręć się po wsi, jedź wprost do miasta — mówił.

— Ba, a Janka będzie na mnie czekać do rana — zaśmiał się chłopak.

— Tylko bez żartów — pogroził Brzęczka synowi, który już wsiadł na rower i naraz zwrócił się do Wojtka.

— Masz jakąś sprawę, a no to chodź do izby. — Rozumne jego, spokojne oczy ciemniały od głębokiego zamyślenia, wypożyczył Wojtkowi nie tylko bron, pługa, i uprzęży, ale doradzał jeszcze, jak trzeba się obchodzić z krową w czasię orki, by jak najwięcej zrobić, a bydlęcia mimo to nie przemęczyć.

— Groził ci więc ten samson Chojnacki — pytał raz jeszcze, odprowadzając Wojtka do furtki.

— Nie długo będzie się tak stawiał, nie bój się.

— Żeby to, żeby to...

— Franek przywiózł wiadomość ,że Rząd już w najbliższym czasie ma się ostro wziąć za tych leśnych.

— Pora, włóczą się już nie tylko po nocy, w sam jasny dzień gdzie chcą.

— Któregoś widział?

— A no, do Staszki Chojnackiego przychodzi wciąż takich trzech gdzieś z dalszej wsi. Kiedyś jak uciekali to i granat rzucili...

* * *

Już przed wschodem słońca byli na nogach. Wojtek przyciągnął pług od Brzęczki, Marysia ugotowała kartofle i wydoiła krowę. Z namaszczeniem wkładali Wiśniosze szleję na kark. Krowa była chuda, patrzyła z żałością w przestrzeń i ryczała przeraźliwie. Marysia wytarła jej wiechciem oblazły z sierści grzbiet zrobiła znak krzyża nad nią i powiedziała Wojtkowi, że może ruszyć.

Naprzeciw za płotem stała cała niemal rodzina Chojnackiego, trzy dorosłe córki, dziesięcioletni chłopak i starzy.

— Maryśka, co wy, na kierkut prowadzita Wiśniochę? — rąbnęła Chojnacka. Była to niska, tłusta, z filuternym dołkiem w brodzie kobieta.

Wojtek i Marysia nic nie odpowiedzieli.

— Mamo, krowa Suchych zapaskudziła nam koło furtki! — krzyknęła znowu najmłodsza córka Chojnackiego, Hela, dziewczyna z długą, chudą szyją i grubym jak powróz warkoczem.

— Ej, Maryśka, po dobroci pozbieraj łajno w podołek — rzuciła od razu stara.

— Możesz mi pogadać, ale tu — zamruczała Marysia, zatrzymując się przy płocie i unosząc spódnicę nad siebie.

— Schowaj, dziadu, bo śmierdzi — pisnął naraz swoim ostrym głosem Chojnacki, że Wojtkowi na sekudnę serce przestało bić w piersi z bólu, gniewu i oszołomienia.

— Chodź, miej rozum — szarpnęła go Marysia i pociągnęła krowę do przodu.

Zajechali szczęśliwie na pole, ale orka nie szła im wcale. Wiśniocha ziała, ryczała żałośnie, roniła pot i stawała co chwilę. Marysia, dźwigając dziecko na ręku, przybiegała do krowy, ciągnęła ją za szleję, ale to nie wiele pomagało. Wiśniocha przebierała nogami z trudnością i znowu stawała, patrząc beznadziejnie na przecierające się niebo i na wrony podskakujące po skibach z wrzaskiem.

— Nie da rady — trza odpocząć — wybełkotał Wojtek. — Idź, Maryś, coś tam ugotuj, przyjdź po obiedzie.

Wyprzągł Wiśniochę, puścił ją na łąkę i stanowszy na skraju swojej działki, patrzył na pług z takim napięciem, jakby się sam zaprząc chciał do niego.

— Jak się masz, Wojtek? Ho, ho, na krowieś przyjechał, uparty chłop z ciebie! — rozległ się nagle z drogi pogodny, wysoki głos.

— Dzieńdobry — szepnął Wojtek i odwracając się zobaczył przed sobą Kaspra Latawca, jasnowłosego, młodego chłopa, jadącego na capigach pługa wolno ku wsi.

— Puszczają pogłoski, że będą do nas strzelać, ale nie trza się bać, wszystkich nas nie powystrzelają. Należy robić, należy siać. Piękna ziemia, aż serce się raduje od tej nowej orki — wołał, Latawiec i zatrzymał niewysoką, tłustą, siwą kobyłę, — piegowata, szeroka jego twarz rozjaśniała się od uśmiechu.

Ta... ale nie mam czym. Krowa mi padnie, nie podołam.

— W samej rzeczy na krowie nie wiele poradzisz. Zaczekaj do pojutrza, ja ci zorzę i zasieję, wykręcisz snopki i poszyjesz mi dach na chałupie za to, dobrze?

— Naprawdę to, naprawdę — nie żartujesz? — wybąkał słabym głosem Wojtek.

— Co ty, chłopie! Dla mnie to nawet dobra kalkulacja, a ty robisz takie oczy...

Po drodze Wojtek, już weselszy, rozgadał się i opowiedział Kasprowi, jak go to wczoraj przyjął bogacz Chojnacki.

— Piecze, bracie, takie poniżenie człowieka. Co ja mu zawiniłem? Co zabrałem? W czym skrzywdziłem? — mówi żarliwie Wojtek.

— Ja się mam wcale dobrze — odparł Kacper — ale nie będę trzymał z takimi Chojnackimi, co im sina pycha na pyski uderza.

Wojtek tak był wzburzony radością, że kiedy wróciła Maryśka nie zmartwił się wiadomością, że stara Chojnacka przed swoją bramą zabiła im kurę.

— Odpłacimy im, nie martw się, Maryś — mówił łagodnie, wciąż jeszcze myśląc o Kasprze.

— O, spalić tego ciemiężcę Chojnackiego! Za naszą wielką krzywdę... — wołała Marysia i zachłystywała się płaczem.

— Kacper Latawiec obiecał przyjechać do nas orać — wybąkał cicho Wojtek.

— Co? więc nie upadniemy, więc zasiejemy — uśmiechnęła się Marysia, nalała w garnuszek mleka i postawiła szybko przed mężem.

— Pij, napij się, nie bój się, zostało mi jeszcze kapkę dla Mieci.

Stanisław Piętak

(Fragment opowiadania)

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

PORANEK

Strzelając wzrokiem ponad łan,
młodą pszenicą owłosiony
i ponad łąką, czyli tam,
gdzie się kwiat ściele w obie strony,
czujesz się wszystkim w jeden czas.
Z superfosfatu śmiała zieleń
wyrasta pod niebieski wiatr,
mleko na codzień, a w niedzielę
placki na maśle będziesz jadł.
W pierogach z serem utkwisz zęby,
tymczasem spójrz na krową gębę,
jak pilnie łapie zapach ziół,
ażebyś w mleku łąkę czuł.

Tutaj azotniak, a tam kainit,
lepsze to niż poczciwe łajno,
cicho smak ostry zawiał z pola,
to chłopi wspólną ziemię solą.
Wybuchnie żyto i pszenica
z potasu w ziemi,
cukrowy burak tryśnie słodyczą,
gdy się rozpleni.
Czekają na chleb, cukier, kaszę
czarni górnicy,
węgiel w Wałbrzychu kujący naszym
i w Katowicach.

Do pracy czas jest i do wzruszeń,
praca z rąk idzie, nie że musi,
trzeba się było bić człowieku,
nim wieś stanęła w radia wieku.
A w wąsach Bartłomieja jaśniej
uśmiech się rodzi, troska gaśnie,
gdy ręka sięga do kontaktu,
by elektryczne puścić światło.

Tak ponad dachy blachą kryte,
nad żyzne pola, rośne łąki,
nad koniczyny, gryki, żyta,
aż tam, gdzie niosą śpiew skowronki,
rozbrzmiewa dzień, faluje wiek
zelektryfikowany —
spółdzielczy chłop nie patrzy wstecz,
na chleb, a z radia pieśń co rano.
Z narodowej krwi, potu i łez,
wylanych czarno,
od nowych lat, wzrósł maszyn śpiew,
a w kłosach wspólne ziarno.

JAN KOPROWSKI

NA WESELU

Fragmęnt powieści

PIECHOTA, siedzący w tyle za młodymi, był wyraźnie niezadowolony. Do ostatniej chwili myślał, że ślub odbędzie się w kościele. Nie pytał nawet o to, bo sądził, że to się samo przez się rozumie. Dopiero, gdy w drodze wyminęli kościół, Piechotę jakby coś tknęło. Gdy znaleźli się przed gmachem, w którym mieścił się ów urząd, wszystko stało się jasne. Ale postanowił być cierpliwy. Stąd już ich nie zawróci. Co zrobili, już się nie odstanie.

Siedząc na krześle patrzył to na urzędnika, to na nich, to na ściany, obwieszone kwiatami — bez obrazów. W kościele grałyby organy, łza napłynęłaby do oczu, człowiek by się wzruszył, popłakał i wszystko byłoby, jak należy. A tu?

Nowożeńcy ubrani byli bez specjalnych grymasów. Tomek miał na sobie kupiony dawniej garnitur — brązowy w prążki, Antośka była w jasnym kostiumie, z głową odkrytą, bez kapelusza. Po lewej stronie głowy wpięła sobie we włosy czerwony, jarzący goździk. Wyglądała skromnie, lecz ładnie.

Piechocie i to się również nie podobało. On szedł do ślubu w specjalnym garniturze, a żona jego i pierwsza i ta druga miały welon długi, aż do ziemi i mirtem upięte włosy i białą, nowiutką suknię.

W domu Tomek chwycił Antośkę i pocałował na oczach wszystkich. Zupełnie nie zauważono, że Marcin Piechota udał się do kuchni, aby na to wszystko nie patrzeć.

Mietek Dynarski pomagał w ustawianiu stołów, Bronka słała białe obrusy. Na przyjęciu, oprócz nich samych, miało być jeszcze paru kolegów Tomka i koleżanek Antośki, głównie z Rękawiczarni w Michałowicach, oraz dyrektor Fabryki Maszyn Elektrycznych, Tadeusz Barczyk z żoną.

rys. S. Gierowski

— A gdzie ojciec? — spytał w pewnej chwili Tomek, rozglądając się po pokoju.

Marcina Piechotę odnalazł w kuchni, siedzącego na małym stołeczku. Palił papierosa, puszczając kłęby dymu pod sufit.

— Co ojciec taki markotny?

Piechota wyjął papierosa z ust i spojrzał surowo na Tomka.

— Powiem ci od razu, bez obwijania w bawełnę, że mi się to wasze wesele nie podoba.

— Dlaczego?

— Zawołaj Antośkę, Wiktora i Bronkę, to wam powiem. Trzeba, żeby ojca wszyscy słyszeli.

W chwilę później siedzieli wszyscy w kuchni wokół starego.

— Nie podoba mi się to wasze wesele — powtórzył Piechota. — Dziadek wasz, a mój ojciec, brał ślub w kościele, ja brałem w kościele, babka i matka też, a wy gdzie?

Pierwszy odezwał się Tomek.

— Niech się ojciec nie denerwuje. Ślub ten tak samo ważny jak kościelny, a nawet ważniejszy, bo w świetle prawa — jedynie obowiązujący.

— Co wy mi tu będziecie o prawach gadali. Jakie są prawa — to ja dobrze wiem. Diabła wart taki ślub, jak wasz. To tak, jakbyście tu w domu przysięgali, przed pierwszym lepszym człowiekiem. Mierzi mnie to. A tak się cieszyłem. Jechałem tu do was z ochotą. Pierwsza córka wydaje się za mąż — myślałem. Pewnie będzie uroczyście, ładnie. W kościele będą grały organy, paliły się świece, przyjdzie dużo ludzi, zobaczą, pokiwają głowami, zostanie coś z tego w pamięci. A wy co? Nawet porządnego ubrania zeście nie mieli.

Antośka patrzała trwożnym wzrokiem na Tomka, Bronka z Wiktorem milczeli, jedynie Tomek nie stracił się wcale.

— My z Antośką grosza od nikogo nie pożyczyliśmy. Ja wiem, dawniej to panowało takie przekonanie: zastaw się, a postaw się. I stawiali się, nawet ci, co ich nie stać było na to. Byle tylko przed światem się pokazać. A potem gorzkie życie, wyrzuty sumienia, kłótnie. Bo często nie było z czego oddać, a dłużnik nie czekał.

Piechota machną ręką zdenerwowany.

— Wy mi tu o tym nie gadajcie. Każdy wie swoje. Wy jedno, a ja drugie. Mnie o ten kościół chodzi. — Nagle zwrócił się do Antośki. — A jak on cię rzuci, to co?

Antośka zapłonęła. Spytała cicho:

— A dlaczego miałby rzucić?

Piechota szmyrgnął niedopałek papierosa w kąt.

— To ci powiem, dlaczego. Bo kto nie ślubuje w kościele, ten ślubuje na wiatr. Z wiatrem takie ślubowanie leci. Psu ślubuje, a nie Panu Bogu. A cóż taki urzędnik znaczy?

Tomek wiercił się niespokojnie na krześle. Podniósł lekko rękę do góry.

— Przepraszam. Niech się ojciec nie gniewa, ale ja powiem, że ojciec wcale nie ma racji. Po pierwsze — obywateli obowiązuje prawo. I do prawa tego stosować się trzeba. Chcecsz ślubować w kościele — proszę bardzo. Ale prawomocne staje się małżeństwo dopiero po zawarciu ślubu w Urzędzie Stanu Cywilnego. Gdybyśmy dziś tego ślubu nie wzięli, to by właśnie było — jak ojciec nazywa — pieskie życie. A po drugie — niech mi ojciec powie, czy zawarcie ślubu w kościele gwarantuje miłość dozgonną? Czy gdybym poszedł z Antośką do kościoła, znaczyłoby to, że jestem z nią związany na wieki? Że już jej nigdy nie porzucę? Niech się ojciec nie boi, ja jej nie porzucę. Bo ją kocham i ona mnie kocha. Jest tu u nas w niedalekim sąsiedztwie małżeństwo. Nazywają się Klijanowicze. Przed rokiem się pobrali. Żeby ojciec wiedział, z jaką to wszystko odbywało się pompą. Świec i kwiatów pełno było na ołtarzu. Orszak ciągnął się przez cały kościół. Dziesiąta wieś o tym wiedziała. Ślubowali sobie w kościele wobec księdza. Chce ojciec wiedzieć, co się z nimi dziś dzieje? Biją się i kłócą. Pomogło im to ślubowanie, związało ich?

— Kto to może wiedzieć. Niepotrzebnie tu do was przyjechałem. Po co mi to. Tyli świat drogi. — Podniósł się z krzesła. — Przyszykujcie mi rzeczy. Pojadę sobie do domu. Będziecie mieli spokój wy i ja będę miał spokój. Co tam gadać.

— Co tatuś znowu? Odjeżdżać teraz, kto to widział. Niech tatuś nie żartuje.

Nagle dały się słyszeć jakieś głosy, dochodzące zza ściany.

— O, widzi ojciec, już goście na nas wołają, chodźmy.

* * *

Piechota stał pośrodku oszołomiony. Nie odzywał się, tylko patrzył na młodych rozbawionych gości.

Dziewczęta zajęły się szykowaniem zastawy, a chłopcy usiedli pod oknem. Dynarski przestał grać i położył harmonię na podłodze. Częstowali się papierosami, rozmawiali, palili. Wkrótce pokój zasnuł się stojącymi pod sufitem sinymi obłokami dymu. Piechota siedział i palił wraz z nimi. Rozchmurzył się nawet nieco. I on też był kiedyś młody. Młode, minione lata.

Gwar, jaki powstał, oderwał go od rozmyślań. Do izby wszedł dyrektor Barczyk z żoną. Barczyk był człowiekiem małego wzrostu — szczupły, niepozorny, ubrany w szare, obnoszone już, ale porządne jeszcze wyglądające ubranie. Jego żona miała na sobie niebieską suknię, czerwone korale na szyi dobrze kontrastowały na tle tej niebieskości. Była ładna, uśmiechała się z wdziękiem.

Tomek i koledzy z Fabryki Maszyn Elektrycznych obskoczyli zaraz dyrektora. Barczyk witał się z nimi, zapytując każdego, co słychać.

— A to ojciec Antoński — powiedział Tomek, przedstawiając dyrektorowi teścia Piechotę.

— Bardzo mi miło poznać. Bardzo miło — mówił patrząc Piechocie w oczy. — No, jakże się panu podoba nasz Dolny Śląsk?

— Ładnie tu, nie można powiedzieć.

— A gdzie ładniej — dopytywał się Barczyk — tu, czy tam u was, w Kieleckim?

— Ze mnie, panie derechtorze, sędzia niesprawiedliwy. Trzeba by tu takiego, co zna i nasze ziemie i wasze. A ja cóż — wiadomo, wybiorę zawsze swoje.

— Rozumiem — dyrektor zaśmiał się w głos. Każdemu się widzi, że jego kraina najpiękniejsza.

* * *

Barczyk wstał z kieliszkiem wina.

— Proponuję wypić za pomyślny rozwój sojuszu robotniczo-chłopskiego. — Spojrzał po zebranych. — Bo nasz Tomek — robotnik, zaś Antosia — chłopka. Żeniąc się, zawarli sojusz, czy nie zawarli?

— Zawarli — krzyknęli młodzi.

Piechota zauważył, że dyrektor sam jest jeszcze bardzo młody. Przytaknął:

— Młodzi do zabawy jedyni, wiadomo. Kijem by ich od tego nie odpędził.

— A czy żałować im tego, panie Piechota? Po wojnie, w kraju pracy w bród, to i zabawić się trzeba. Prawda?

— Jużci tak. Choć wiecie — różnie ludzie mówią.

— Że co?

— No, o tym pokoju.

Piechota mówiąc to miał strapiony wyraz twarzy.

— Panie Piechota, czy pan wie, w jakim stanie była nasza fabryka jeszcze przed kilku laty? Płakać się chciało, gdyśmy się do niej zabierali. Nie było maszyn, urządzeń, materiałów. Gdybyśmy oglądali się na to, co ten i ów drań powie, albo co radio zagraniczne klepie, tobyśmy daleko nie zajechali. A dziś? Spytajcie Tomka, zięcia waszego. Fabryka produkuje silniki, ludzie zarabiają, wszystko idzie coraz lepiej. Panie Piechota, robota się liczy, praca to jest nasz fundament pokoju!

— Juści prawda — przyświadczył Piechota, zbity z tropu.

— A wie ojciec, że nasz dyrektor to syn robotnika — odezwał się Tomek. — I że sam był do niedawna robotnikiem. Taki człowiek rozumie takich, jak my.

* * *

Marcin Piechota, podpiwszy sobie, jadł dużo i dużo mówił. Opowiadał o Czajęcicach, o gospodarstwie, o robocie i pożyciu z Jadwigą.

— Zawsze myślałem, że będą miał z was pociechę. Że ulżycie mi w robocie, weźmiecie trochę tego ciężaru na swoje plecy. Człowiek chowa dzieci, ogląda się na nie, że pomoc jaka z nich będzie. A wy co? Wylecieliście z domu w świat, każde w inną stronę. A ja jak się męczyłem, tak się męczę. Dzieci po Jadwidze do roboty niezdatne. Adaś wątły, a Kasia z Małgorzatką jeszcze małe. Jadwiga dosyć ma roboty z nimi, nie ma co liczyć na nią w gospodarstwie. W polu samemu ciężko. Orać, siać w pojedynkę, bez niczyjej pomocy. Lata robią swoje. Nie mam tej siły, co kiedyś.

Wiktor, który pod wpływem wypitego wina wpadał w coraz weselszy nastrój, przysiadł się teraz do ojca i powiedział mrużąc oczy:

— A rzuciłby ojciec do cholery tę gospodarkę indywidualną i przeszedł na spółdzielnię. Byłoby ojcu lżej.

Stary Piechota oprzytomniał, podniósł głowę i spojrzał na Wiktora jakby go chciał tym spojrzeniem ukamienować.

— Co ty mnie będziesz uczył, co mam robić, gówniarzu? Ja sam wiem, co do mnie należy.

Wiktor się poderwał.

— Co ojciec będzie mi tu od gówniarzy wymyślał. Przodownik jestem, nie żaden gówniarz!

— A jesteś — ryknął Piechota i też poderwał się krzesła.

— Niech się ojciec uspokoi — powtarzał uporczywie Tomek.

— Nie uspokoję się. Co on mnie tu będzie uczył. Mnie, starego, ojca dzieciom?

— W spółdzielni by się ojciec tak nie męczył — powtarzał również uporczywie Wiktor.

— Nie mów mi o spółdzielni, bo cię zdzielę. Widzicie go, agitator, poiltyk. Co ty wiesz o ziemi, o robocie w gospodarstwie. Ledwie ci się mech puścił pod nosem, poszedłeś sobie z domu. Wyście wszyscy tacy. Ale do gadania to pierwsi. Czy ty wiesz, ile ja się namęczyłem, ile potu trzeba było wylać, żeby do tej ziemi przyjść. Czy nie po to krwawił wasz dziadek? Pieniądze w nią wpakował, zdrowie stracił, żeby mnie i wam było lepiej.

— Ładnie lepiej, jak ojciec ciągle narzeka.

— Narzekam przez was. Bo wy nie macie miłości do ziemi. Poszliście, jakby was to nic a nic nie obchodziło. Zostawiliście mnie samego. Ale ja tej ziemi nie opuszczę.

— Powiedziałem ojcu z dobrego serca, a ojciec na mnie z gębą. Nikt ojcu nie każe rzucać ziemi. Ale można pracować na ziemi i nie męczyć tak siebie i dzieci.

— Jeszcze chwała Bogu, nikt od tej roboty nie umarł.

Wiktor żachnął się.

— Nikt nie umarł? — Mówi ojciec, że nikt nie umarł? A naszą matkę co zabiło, jak nie ta robota w gospodarstwie? Była słabego serca i żeby nie to harowanie i w domu i na polu i w zagrodzie, żyłaby do dziś. Ta „gospodarka własna" naszą matkę zabiła. Oj, nie było takiej drugiej matki na świecie. — Wiktor zaczął płakać pod wpływem wspomnień i pod wpływem wina.

— Ja jeszcze dziś pamiętam, jak matka nasza umarła. Upadła na podłogę i już więcej nie wstała. To ta robota tak się jej przysłużyła. — Wiktor zaczął bić pięściami w stół. — Ziemia ją zamordowała. Gospodarka. Ojciec ją do grobu wpędził. Tak, tak!... Wesele było w kościele, a jakże, a potem co ojciec dał za los matce? Coście mieli za życie? Matka — nie wytrzymała i my byśmy nie wytrzymali, gdyby nie było nowej Polski. Jak się dziś mamy i ja i Antośka i jej mąż? Czy my swoim dzieciom nie damy lepszej przyszłości? Damy i to jeszcze jaką! A ojciec co dał nam i matce? Ślub w kościele i śmierć we własnej zagrodzie. Śmierć!...

Stary Piechota wstawał powoli i zdawało się wszystkim, że zbiera się do skoku, za chwilę rzuci się na Wiktora i będzie bił wściekle i nieprzytomnie.

Ale Piechota wstając bladł coraz bardziej, aż nagle z powrotem rymnął na krzesło i zapłakał.

Jan Koprowski

PIOTR PAWLENKO

ŚWIT

15.VI.1951 r. zmarł Piotr Pawlenko, wybitny pisarz radziecki, autor znanych powieści „Barykady", „Szczęście", „Na Wschodzie", szeregu świetnych opowiadań, z których jedno drukujemy poniżej, oraz scenariuszy filmowych do „Przysięgi", „Aleksandra Newskiego" i „Upadku Berlina".

Za swą działalność został kilkakrotnie odznaczony Nagrodą Stalinowską.

Publiczność polska zna Pawlenkę przede wszystkim z granej w Warszawie scenicznej przeróbki jego „Szczęścia".

Swą wszechstronną, bogatą działalnością Piotr Pawlenko dobrze zasłużył się swej socjalistycznej ojczyźnie, wniósł znaczny wkład w międzynarodową walkę o postęp i pokój.

Odkąd wyjechali z Charkowa, nie widzieli słońca. Im bardziej na południe, tym słotniejsza i gorsza była pogoda, jakby pociąg nie zbliżał się do ciepłych okolic, lecz uparcie oddalał się od nich ku północy; stepy były coraz smutniejsze, nieprzytulne, mokre, ludzie zasępieni.

Zamiast zimy nastały mokre wiatry, a koło Czongaru rozszalała się stepowa burza, która przeszła w górską zamieć na Czatyrdachu i zajęczała strasznym sztormem, od którego pożółkło morze koło cichej, jakby bezludnej Ałuszty.

Ogłuszeni sztormem, przesiąknięci słoną morską mgłą, skłopotani, milczący, przybyli nocą na otwartych ciężarówkach do wsi, gdzie odtąd mieli zacząć nowe życie.

Pełnomocnik rejonowego komitetu wykonawczego, narzuciwszy worek na głowę, zgarbiony biegał od domu do domu i ochrypłym głosem wykrzykiwał, jakby za każdym razem znajdował coś zadziwiającego:

— Dwie izby z kuchnią, weranda, spiżarnia — raj dla rodziny. Kogo tam macie, Sztepenko?

I przewodniczący kołchozu, tak jak wszyscy zakłopotany, wykrzykiwał:

— Kostiuk.

— Jestem tu Mikołaju Piotrowiczu

— Twój dom, zajmuj go na zdrowie

Potykając się, obojętnie ustosunkowany do ziemi, krzywo wymykającej się spod nóg i najeżonej ostrymi kamieniami, Kostiuk wszedł po omacku do domu, niosąc w ręku portret Stalina i ramkę z fotografiami synów, żołnierzy frontowych.

— W tobie żyć, w tobie dobro czynić, ty — nam, my — tobie — wyszeptał cichutko, żeby nie usłyszała synowa. — Daj boże pokój i szczęście. Baby, myjcie podłogi.

Noc była czarna, wietrzna, przenikliwie świeża i w ciemnym domu z wybitymi szybami nie można było nawet zapalić ognia, nie widać było skąd przynieść wody, wobec czego kobiety stanowczo odmówiły babrania się z podłogami i zwaliwszy na kupę cały dobytek, przytuliły do niego śpiące dzieciaki, wyszły na krzywą uliczkę i długo, długo gadały z sąsiadkami, wzdychając i klnąc z całej duszy.

I Kostiuk nie mógł spać.

„Ot tobie i Krym — myślał markotnie, leżąc z początku na workach z dobytkiem obok wnucząt, a potem wychodząc na ulicę. — Skusili, chrzan im w pięty. Pas podzwrotnikowy, żeby ich diablil wzięli".

Stał oparty o szorstką murowaną ścianę swojego nowego domu, który według zapewnienia pełnomocnika był pokryty cynkową blachą i mógł jeszcze wytrzymać dobrych trzydzieści lat bez remontu. Bał się odejść, żeby nie zabłądzić. Nie mógł sobie wyobrazić, jak wygląda dom i gdzie się właściwie znajduje. Ulice były wąskie, zdawało się tylko niziutkie murowane płotki przeszkadzają domom zsunąć się razem. Domy stały bokiem do ulicy, a nie frontem. I jak tu, powiedzmy, podwieźć drzewa? Nie rozumiem. A już zupełnie nie wiadomo, jak po takich górach pędzą świnie na pastwisko. Chciał zapytać synowej, ale powstrzymał się w porę. Poszłoby i tu. Skusił mnie, jak to mówią, stary diabeł swoim Krymem, a teraz sam nie wiem, co do czego.

„Jest tu jakaś pomyłka — myślał sobie. — Pośpieszyli, choroba ich weźmie... A wszystko ten pełnomocnik, słodkooki diabeł: „Przyroda, przyroda, ciepło jak w cieplarni"... Otóż masz, jakie tu u nich ciepło!... Owoce cały rok, deszczów nie ma, dokoła tylko słońce... Ach, żeby go cholera, podły, tak namówić!... Wracać już jakoś nie wypada, jakoś niezręcznie... Będą się wyśmiewać"...

Jak pomyślał, co jeszcze powiedzą, jak ustosunkują się do przesiedlenia synowie, walczący teraz gdzieś daleko nad morzem bałtyckim, serce jego ścisnęło się takim żalem, takim bólem, że zgrzytnął zębami i przestał na chwilę oddychać.

...Zbliżała się północ, a wieś ciągle się jeszcze krzątała, urządzała się, skrzypiała drzwiami, potykała padała, śmiała się, gubiła i odnajdywała swój dobytek, trzeszczała chróstem, uwiązywała psy u wejścia i głucho nawoływała się, jak na biwaku. Właściwie był to jeszcze obóz, a nie wieś.

2

Kiedy stara z synową poszły spać, Kotiuk przysiadł na kamieniu przy ścianie domu i zaczął czekać ranka, żeby mógł pierwszy zobaczyć tutejsze życie i określić, jak tu najporęczniej działać.

Spać mu się nie chciało, zresztą — strach spać w obcym miejscu, nie wiedząc właściwie, jakie ono jest. Trzeba wyśledzić przyrodę, przypatrzyć się jej... — Oczekiwał świtu, jak gospodarza, który wyjdzie i wszystko mu wytłumaczy.

Noc zmieniała się ze cztery razy. Wiatr ucichł i lunął deszcz szumny, nawalny, rozpaczliwy, lecz i on ustał szybko, jakby wszystko wyciekło spoza niebieskich tam i na chwilę wylazł blady, udręczony księżyc, ale zmarznięty zawinął się szybko w poszarpane obłoki i wtedy zaczęło się coś podobnego do powolnego, ciepłego przedświtu.

Góry stopniowo oddzieliły się od obłoków, niebo oddzieliło się od morza i widać było daleko. Kostiuk spojrzał na boki: przy każdym domu sterczała ludzka postać. Wszyscy mężczyźni spotykali ranek. I wszyscy milczeli, jakby nie zauważali jeden drugiego i każdy robił wrażenie, że to tylko on.

Szara rzadka mgła szybko poróżowiała. Przedmioty zaczęły się jaskrawo barwić. W dolinach zapłonęły sady. Morze uderzyło w oczy niebieskim blaskiem. Góry rozsunęły się, rozprostowały swoje plecy i

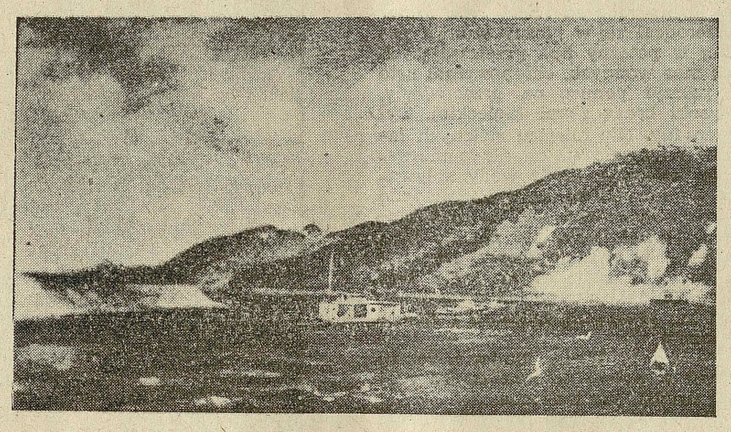

po ich grzbietach przebiegły pierwsze promienie słońca.

Było coś niewypowiedzianie pięknego w obrazie tego wczesnego ranka. Kraina pokazywała się ludziom. Kostiuk od razu wszystko zobaczył i wszystko od razu zrozumiał. Gęste lasy zbiegały po zboczach gór. Niżej, na ciepłych pagórkach, pstrzyły się winnice i tytoniowe działki. W dolinach i fałdach chowały się sady. Jeszcze niżej znowu pstrzyły się winnice i sady. Sady i winnice, a zupełnie na dole, za zaroślami dzikich krzaków, teraz jaskrawo ubarwionych, szarzał przybrzeżny żwir.

Było tu wszystko: i szeroka przestrzeń dla oczu, jeżeli patrzeć w morze, które błękitnym stepem ginęło za horyzontem do samej Turecczyzny; i schronienie, jeśli popatrzeć na lasy i wzgórza z winnicami, i wysokość, jeśli popatrzeć na skaliste szczyty gór — tu było wszystko, jak we śnie.

Kraj ten dobrze znał jeszcze z dzieciństwa, kiedy, bywało, matka kołysząc go, śpiewała coś smętnego i cichego o krymskich stepach i czumackiej doli, a on marząc o tym, co zawierała pieśń, drżał ze strachu przed tymi bezkresnymi stepami i niebezpieczeństwami, których nie chciał uniknąć.

Po tym, gdy podrósł, także nie mało słyszał o Krymie, lecz to już były dobre słuchy: o pszenicach, słonecznikach, o sadach. I zdawało się, że kraj ten jest daleki i cudowny, jak cesarskie komnaty i nawet dziwne, że w tym kraju rodzi się zwyczajna rosyjska pszenica, a nie jakieś szczególne, cesarskie ziarno.

I oto teraz stoi sam na górze nad morzem i siądzie nad nim pić herbatę, a potem będzie jeść obiad i kolację, a potem położy się spać, a ono jak stało, tak cały czas będzie stać przed jego prostym skromnym życiem. Góry, których dawno już nie widział też były rozstawione dookoła jego domu jakby dla ozdoby całego tutejszego życia. I było tu wszystkiego dużo: i morza, i gór, i lasów, i równin — tylko ludzi było trochę mało i widocznie za nimi tęskniła cała ta bajeczna przyroda.

„Przecież tu, bracie mój, i umierać się nie będzie chciało" — pomyślał Kostiuk, i po raz pierwszy po długich godzinach głęboko i spokojnie westchnął.

Jego przenikliwy gospodarski umysł zaczął pracować z natchnieniem i hazardem; wstał z kamienia i poszedł w górę ulicą, by ogarnąć wzrokiem całą wieś. Tutaj gdy tylko wspomniał swój nowy dom, obejrzał się, nie poznał go i nawet się przestraszył: gdzież on jest? Lecz oto zauważył kamień, na którym przesiedział całą noc i po raz pierwszy uważnie przypatrzył się zagrodzie.

Dom był maleńki, lecz schludny i mocny. Oszklona weranda wychodziła na mały ogródek, zarośnięty winną łozą. Morze patrzyło z dołu

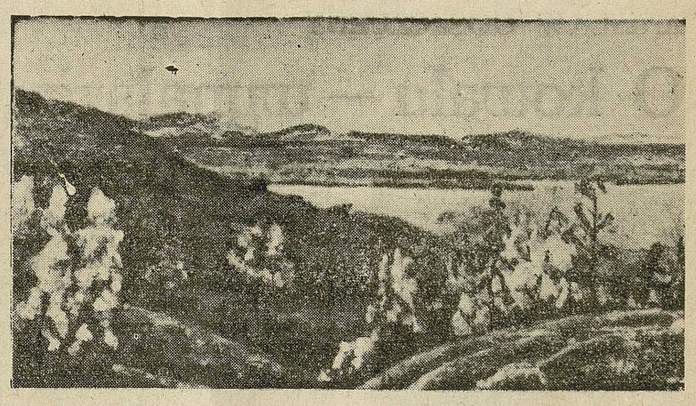

prosto w podwórze. Zdawało się, że wystarczy plunąć przez płot, a trafisz w morze. Kilka nieznanych drzew z pachnącymi liśćmi rosło na skrajach podwórza. Niewielki skrawek ogrodu ukośnie przylepił się z boku.

„Ciasnawo, lecz już jako - tako..."

I zaczął iść do góry po wąskiej krętej uliczce.

— No, jak Kostiuk? — usłyszał głos przewodniczącego. — Jak uważasz? Życie, co?...

Kostiuk, nie odwracając się, lecz czując, że przewodniczący zbliża się do niego, przesunął rękę po twarzy.

— Cóż, przedłożyli odpowiedzialne życie — powiedział z zadowoleniem. — Raj...

— A ty jak myślałeś? Lecz do raju jeszcze daleko. Raj, Kostiuk, trzeba zrobić, raj sam w ręce nie lezie...

— To i cóż, zrobimy — spokojnie, z godnością odpowiedział Kostiuk — skoro jesteśmy upoważnieni przez Stalina i nam przedłożono to życie... Czemuż nie zrobić... Oto, przede wszystkim wiatraki trzeba pobudować — rzekł on surowo jako najstarszy i przewodniczący kiwnął głową. — Zrozumiałeś? Żeby wodę ze studzien pompować. Po drugie trzodę chlewną przenieść na górę, bliżej lasu, żeby nam świnie nie przeszkadzały...

— No, no, no... Dawaj, dawaj...

— Pszczoły zaprowadzić. Czujesz, jakie tu aromatyczne powietrze, czysty miód. Pszczoły, pszczoły — przede wszystkim. Łodzie zaprowadzić na ryby — ciągnął w radosnym porywie oswajania się z nowym życiem, w hazardzie pierwszego wżywania się w nie. — Przecież morze stoi, samo prosi — bierz.

— Masz rację, ryby weźmiemy. No, no? — zachęcał go przewodniczący.

A w tej dolince — oto pod skałą — grobla będzie i taki stawek... Tam niech się gęsi roją. Stamtąd i sady podlewać. Rozumiesz? Tu jak obciął na jakie dwa lata roboty. Za to,... Słyszysz przewodniczący?

— Słyszę, miły, słyszę. Czemu nie mam słyszeć... Zresztą i ja mam oczy... No, dawaj, dawaj...

Za Kostiukiem stał tłum, słuchali go w milczeniu. Był najstarszy. Najbardziej niezadowolony, opryskliwy, wymagający, lecz i najbardziej doświadczony. Gdzie on tylko nie był przez całe swoje życie i na Kaukazie, i na Dalekim Wschodzie, i w Turkiestanie i zawsze wracał do rodzinnej wioski, nigdzie nie znalazł niczego, co by było miłe jego sercu. A teraz Kostiuk widać, nie wybierał się spowrotem. Nie, nie wybierał się. Piękno tutejszych stron urzekło go i podbiło na wieki.

Kobiety, przeciągając się sennie, wychodziły z domów oglądając je i ostrożnym spojrzeniem porównywały z sąsiednimi domami. Wyszła i jego synowa. Kostiuk, nie spojrzawszy na nią, ciągnął żartobliwie, orzeźwiająco:

— A wino w tutejszych stronach lekkie, zdrowe wino i tytoń też lekki, a konfitury, baby, będziecie smażyć z derenia — widzicie, całe jego chmary na górach, i z tarniny i z tego zielonego z orzechów, jak Gruzini smażą, a nie — to z brzoskwiń, a wódkę pędzić — z pestek, dobra wódka i żyć tu nam, aż do pełnego szczęścia.

Nikt nie przerywał staremu Kostiukowi.

— Zamyślił się.

Oczywiście, każdy rozumiał, że nie od konfitur trzeba zaczynać życie na tej ciężkiej, kamienistej ziemi, lecz wszyscy chcieli, by już naprawdę było dobrze, i słowa Kostiuka o konfiturach zostały przyjęte wesołym uśmiechem, oceniającym jego dobry żart. Rozweseliła się i synowa Kostiuka i ładna lecz kapryśnie swarliwa jej twarz przybrała miły wyraz.

„Ciężko i niewesoło będzie tu z początku na nowym miejscu" — myślał Kostiuk, lecz dusza ludzka lubi, by gdzieś przed nią, za zakrętami ciężkiej drogi świeciło słońce.

Widział to dalekie słońce, czuł prawie jego łagodne ciepło...

„A trudności... Mój ty boże, kiedy ich nie było! A tu, patrzcie, jakie piękne życie, bierz je z jakiej chcesz strony...".

I Kostiuk zdjął z siwych włosów czapkę, i wszyscy poszli za jego przykładem:

— Raj nam otworzyłeś, kochany towarzyszu Stalin. Daj ci boże zdrowie, a nam — powodzenia.

I długo, długo milczał, jakby czekał odpowiedzi.

A słońce, osiodławszy złocistozielone góry, już zalewało świat. I stałło dookoła ciche piękne, takie, jakiego ci ludzie jeszcze nie widzieli.

1945.

tłum. Wanda Tomaszewska.

KLEMENS OLEKSIK

ŻNIWA

(Reportaż poetycki)

Chętnie przyjmuje wezwanie Opiela
Jan, który liczy lat ponad sześćdziesiąt
(a o starości mówi, że to przesąd).

Na długo jeszcze sprawności tej talent
nie jest młodzieży dany, jak Opieli:
jakby z rąk snopa nie wypuszczał wcale —
nowy mu w rękach płowieje, i bieli
się w słońcu jego siwa głowa.
Stary — młodym nie chciał ustępować.

*

Zmierzchem wilgotnym z jeziora
wypełnia się spokój po pracy
i cisza po traktorach
osiadła wśród rzędów akacji,
u płotów, przy których czekają
chłopcy na powrót z pastwiska
krów, które pasie się razem.
Ileż z nich każdy uzyskał
swobody! Gdy dawniej ojciec
tarmosił zaspanych o świcie,
że czas wypędzać krowy.
Gniewał się nauczyciel
za spóźnienia do szkoły.

*

Sam dobrze pamiętam przecież:
ledwieś się, bracie, położył —
już ci bat w rękę wtykają
(dobrze gdy w drugą chleb włożą).
Południa — jakże ospałe
były dla wiejskich pastuchów!
Tak wiosną. Latem. Dnie całe.
O łąko mojej młodości,
o rzeko moich westchnień!
Ileż smutków i radości
wodą spłynęło i pieśnią.
Kiedy nadeszła jesień
ojciec odbierał pieniądze
na cajgowe porcięta.

płacił je stary Dygas
(dobrze go jeszcze pamiętam):
Był chytry, zawsze urywał
to za złamane biczysko,
to za spasioną koniczynę
(miał kartowane wszystko).
I choćby to było w maju
z rejestru wyczytał gładko:
„Jaworski krowy zajął..."
Klął ojciec i matka ręce
łamała (gdzież sprawiedliwość?)
lecz jest że bogacz uczciwy?
Takich na świecie nie było.
Powie coś o tym Dąb Franek:
przez lat piętnaście parobkiem
był u różnych
i życie miał niesłodkie.

*

Cóż — urodzenie? Rzecz przypadku.
Rozwaga przychodzi z wiekiem,
a wtedy nie pytano go
czy chciałby zostać człowiekiem.

Człowiekiem być, ba — chłopcem małym
to, prawdę mówiąc, trudna rzecz.
Matka Franka nic nie miała
prócz swoich rąk. Lecz

matka umarła. Sześcioletni
jak może radzić sobie skrzat?
Wziął Franka Madej (był majętny)
Czegóż Frankowi będzie brak?

Lecz odtąd brak było wszystkiego,
a tylko pracy było wbród:
ulitował się nad sierotą
Madej i Bóg.

Cóż — wtedy i to karierą było:
mógł przecież zdechnąć gdzieś pod płotem:
— Pamiętaj, matka ci to wymodliła...
Nie zapominaj nigdy o tym —

Wiele w swym życiu przeszedł Dąb,
wielu Madejów w życiu było.
Dziś w życiorysie pisze to:
„...więc na kułaków się robiło,
najadł się człek krzywdy i biedy.
A do szkoły — to nie chodziłem.
Nie było kiedy.
Poznałem teraz nowe życie,
porządek inny i ład —
towarzysze, chciałbym z wami
budować świat".

(Fragment reportażu)

Pytano matki: — „Na co jeszcze młodzi
czekają jeśli serce jest po myśli
Franka i Jadzi... Raz się człowiek rodzi —
jak raz do roku kwitnie drzewo wiśni..."
— „No, jak widzicie: w miłości tak bywa.
Dojrzewa przecież jak żyto do żniwa..."

Mówiła matka. Żniwa były blisko:
kłosy płowiały, okwitły akacje.
Jędrzejczak w POM-ie załatwił już wszystko,
najdrobniejsze nawet kalkulacje:
gdzie ZETORAMI, gdzie pójdą URSUSY
(Ursus, wiadomo i na piaskach ruszy).

Ruszyły. Rankiem Szymkowiak mnie zbudził
(bo go przezornie prosiłem z wieczora),
a już na drodze pełno było ludzi:
szli jak procesją. Chłopcy na traktorach
smagali, berety z głów zrywali płowych.
Tak się zaczęły żniwa w Turostowie.

*

Dyrektor POM-u przysłał co najlepszych:
zwycięski turniej na polach trustowskich
prowadził Wajda, a wśród młodych ze wsi
Franek Dąb sprawnie kładł pierwsze pokosy
pod „traktorowe ścieżki" i szły po nich
snopowiązałki. Motor dzwonił

sprawnie i zęby kosiarek się wgryzły
w szeroką połać, a gotowe snopy
kładły się rzędem jak pijane chłopy.
Lecz, jakby baba groziła im z izby —
wstawały prędko i stały w gromadzie
kopy i mendle jak jabłonie w sadzie.

Wśród zetempowskiej brygady rej wodził
Jurek Tarowski, syn nauczyciela:
on ze starszymi chciałby zmierzyć młodzież.

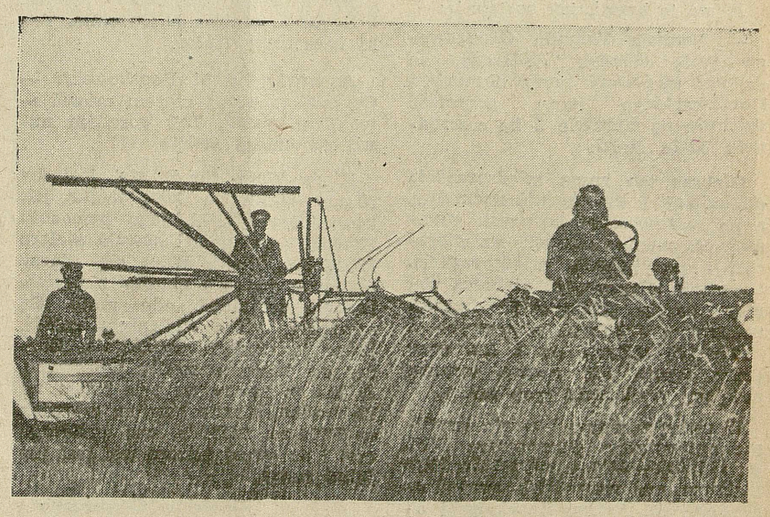

STANISŁAW GOSZCZURNY

O kowalu — wynalazcy

Nierzadko tak się dzieje, że kiedy oglądamy wiele rzeczy, spraw i ludzi w krótkim czasie, wówczas całość czyni każdy szczegół jasnym i, co za złudzenie, wydaje nam się, że dla określenia i przedstawienia całości pamięć nasza zachowa kopalnię szczegółów. Te niewesołe refleksje snuję w związku z osobą starego Kowala, Antoniego Daczkowskiego. Był dla mnie „szczegółem" — jasnym i bogatym, kiedy zwiedzałem PGR Martąg w zespole Gajewskim pod Malborkiem. Ale kiedy wracałem do Gdańska i w pociągu przypomniałem sobie prośbę jego 13-letniego pomocnika, Ludwika Konefała — napiszcie o nim, co najlepsze, przecież nikt nie wpadł na pomysł tego głębosza, tylko nasz złoty Antoni... kiedy przypomniałem sobie starego Jana Mendeluka, który jest murarzem, cieślą, stolarzem, bednarzem i malarzem w jednej osobie, jak to on z kamizeli wyciągał papier, starannie złożony w ósemkę i upierał się — weźcie to, weźcie że, to w kancelarii poświadczony odpis patentu na wynalazek naszego złotego Antosia... Wtedy już w pociągu, z wielkim wstydem uprzytomniłem sobie, jak bardzo mało wiem o kowalu — Antonim Daczkowskim.

Tyle, psiakrew, co w PAP-owskiej notatce zwykło się umieszczać. **64-letni kowal, Antoni Daczkowski dokonał ulepszenia głębosza, który służy do pielęgnacji buraka cukrowego i innych okopowych.**

Biję się w piersi, bo czy szczegół równy jest szczegółowi? Trzeba umieć wybierać i pogłębiać poznanie. Miałem przecież aniołów-stróżów. Ten młodziutki pomocnik kowala, tak zachwycony starym. Ten stolarz Mendeluk, mały ruchliwy człowieczek, w wieku prawie tym samym co kowal. Co za przyjaciel! Nosi w kamizeli odpis pisma z Komisji Zarządu Okręgowego PGR Gdańsk, które zatwierdza wynalazek kowala, zaleca jego upowszechnienie i przyznaje premię nagrodową — 800 zł.

Ten mały, ruchliwy murarz, cieśla, bednarz, stolarz i malarz w jednej osobie, roznosi po okolicy sławę przyjaciela, choć ta i bez niego się rozeszła. Ale on ją pogłębia szczegółami, jakich ludzie najchętniej słuchają, tylko ja w galopie poprzez wszystkie szczegóły PGR-u w Martągu nie dałem sobie urwać guzika przez starego Mendeluka, choć stolarz już go począł kręcić, co zapowiadało dłuższą gawędę i na pewno bardzo ważną dla zrozumienia pracy i życia ludzi tego socjalistycznego gospodarstwa. Umknąłem mu, bo trzeba jeszcze coś nowego zobaczyć, trzeba więcej wiedzieć. I wyszło na to, że pominąłem prawdziwe źródło wiedzy. Ale stary zdążył mi wetknąć w kieszeń ów odpis.

„Nie martwcie się — wołał — zrobię sobie drugi odpis". Co za subtelność u tego cieśli, bednarza i murarza. Myślał, że ja się wzbraniam dlatego, że nie chcę go pozbawiać papieru, opiewającego zasługi druha — kowala, że nie mógłby już przed ludźmi rozkładać dokumentu i czytać głośno i z namaszczeniem... Wstyd mi, bardzo mi wstyd.

Przyjacielu kowala Daczkowskiego! Daliście, wziąłem, a teraz ogłoszę przez gazetę — pismo, z którym wy chodzicie po ludziach, aby Wasz Przyjaciel cieszył się zasłużoną sławą.

Pismo to brzmi, jak następuje:

— Komisja Zarządu Okręgowego PGR Gdańsk stwierdza, że głębosz ulepszony przez obywatela Daczkowskiego może przynieść dziennie na uprawie 3 ha oszczędność 30-tu ludzi.

Głębosz ten rusza międzyrzędzia dokładniej i głębiej niż normalny, a po zastosowaniu bocznych strzemiączek podcina chwasty na wierzchu i po bokach międzyrzędzia. Używanie ulepszonego głębosza obniży koszty pielęgnacji buraka cukrowego i innych okopowych o około 100 złotych na 1 ha, oraz przez lepszą niż ręczna uprawę zwiększy wydajność tych roślin.

W związku z tym komisja wspólnie z Zarządem Okręgowym PGR w Gdańsku zaleca używanie tego głębosza we wszystkich gospodarstwach. Ob. Antoni Daczkowski otrzyma za swój pomysł premię w wysokości 800 złotych".

I co ja wiem o tej trójce? O kowalu, jego pomocniku i przyjacielu, stolarzu? A przecież ta ich wzajemna sympatia to klucz do PGR-u w Martągu, klucz do zrozumienia **nowych ludzi** na naszej wsi. Przypominam sobie, jak kowal mówił: ojciec nie mógł wyżywić nas czworga i żony. Byłem najstarszym, musiałem pierwszy odejść. W 12-tym roku życia przyjął mnie kowal na praktykę... o ten — wskazał na pomocnika — ma dopiero zupełnie inne życie. Pracuje 9 godzin, dostaje pensję, dobrze się ma i przy jakim jest warsztacie? Ile tu może wymyślić i jak szeroko upowszechnić?

Przeskoczyłem zaraz do wynalazku, o którym mi w zarządzie PGR-u wspomniano. Stary kowal był powściągliwy. Opowiadał rzeczowo historię tego wynalazku. Ze sterty starego żelastwa wyciągnął połamany i niezdatny do użytku głębosz. Taki mały płużek do przeorywania ziemi między rzędami. Naprawił go, ale zauważył, że jest trochę nie wygodny, bo cały jego ciężar leciałby na ręce orzącego. Dorobił więc z tyłu dwie stopki, które ślizgają się po ziemi i człowiek teraz już tylko kieruje głęboszem a nie musi go dźwigać.

Ponieważ te stopki są trochę powyżej lemiesza, wykombinował kowal, że jakby je rozszerzyć, w dół puścić zęby zaostrzone, wyżej zakrzywione noże, mogłyby równocześnie spulchniać ziemię i podcinać chwasty. Srpóbował zrobić i powiodło się. 22 maja komisja zjechała, zbadała i wynalazek uznała za dobry i użyteczny.

Wydawało mi się, że mam już szczegół w ręku, dalejże więc do nowego. Nadszedł wówczas Mendeluk i zabrał się od początku do sprawy głębosza i złotego Antosia.

Wziąłem go za starego gadułę i umknąłem z kuźni. Po co dwa razy słuchać o tym samym? Teraz mi wstyd i głupio. Nie dwa a dziesięć razy warto i należy słuchać o tym samym, nawet gdy mówi ten sam człowiek, a cóż dopiero, gdy mówią różni ludzie. Tu tkwi tajemnica i rzeczywistości i pisarstwa: w tych wariantach, nowych ujęciach, nowych szczegółach, sprzecznościach, akcentowaniu raz tego, raz tamtego. I co najważniejsze, kto mówi i dlaczego tak.

Przegapiłem, kluczowych ludzi przegapiłem. Nie spytałem kowala o pełny życiorys. Ma 50 lat pracy w kuźniach. Gdzie pracował? Czy wyszedł na wioskowego kowala, czy się dorobił? I jak się dorabiał. Czy kupił ziemię? Wszedł między średniaki a może bogaczy? Czy też klepał biedę, ale dlaczego? Gdzie, w jakich okolicznościach? Czy w jego kuźni kuły się przed wojną „niedozwolone myśli"? Nie spytałem o to jego przyjaciela, starego stolarza Mendeluka. A ten by nie gorzej od Homera opiewał dzieje złotego Antosia.

Cóż ja wiem? Że 64-letni kowal zdobywa się na wynalazek? Po 50-ciu latach pracy nie na emeryturę idzie do dzieci, ale tutaj na PGR-ze udoskonala narzędzia rolnicze. Tutaj się budzi i po raz drugi przeżywa lepszą wiosnę swego życia?

Daje dla pracochłonnego zakresu rolnictwa oszczędność na 3 ha pracy 30 ludzi dziennie. Oto pytanie, dlaczego Daczkowski dawniej nie wymyślał, nie udoskonalał? A dopiero teraz? Dlaczego jego pomocnik 18-letni patrzy na tego siwego olbrzyma z miłością, czego w fachu kowalskim dawniej szukałbyś ze świecą? Ile z brygad pegeerowskich, z ich dynamiki socjalistycznej pracy, z ich pokojowych czołgów i parków maszynowych spłynęło w dawne marzenia kowala? Ile z gazet, święcących triumfy przodowników i racjonalizatorów-robotników? Przypominam sobie, że kowal Daczkowski w pewnym momencie nazwał siebie **robotnikiem.** Aha, było to tak! Stolarz Mendeluk zdążył opowiedzieć, jak to złoty Antoś święcił 1-Maja. Nic nie zadeklarował. Strasznie się Mendeluk zmartwił, ale podpatrzył złotego Antosia, że ten po cichu ze starego żelastwa przerabia motyki. I 20 sztuk odniósł 30 kwietnia. Taki nasz złoty Antoś.

A wtedy kowal Daczkowski: — Co miałem przed czasem mówić — wolałem zrobić. Tak uczciłem **nasze robotnicze święto.**

Kiedy Wam się Młodzi Koledzy zdarzy trafić na taką trójkę, jak kowal Daczkowski, jego pomocnik Konefał i przyjaciel kowala stolarz Mendeluk, kiedy Wam się zdarzy trafić na jednego choćby z takich, bądźcie czujniejsi ode mnie. Są szczegóły, które odsłaniają całość, które ją dopiero wyjaśniają. Uczmy się także szczegóły wykrywać. A jest to nauka na tyle łatwa na ile trudna. Każdy bowiem człowiek w PGR-ze, POM-ie, wsi spółdzielczej i na starej jeszcze wsi jest już **jakoś nowy.**

Stanisław Goszczurny

KRYSTYNA PAŁYS

Świeciechów to wielki temat

Kto by szukał wsi do powieści o szerokim, epickim oddechu, o wielu bohaterach, wielu wątkach i wielu etapach temu bym podsunęła Świeciechów. Duża to wieś pod Annopolem Od Wisły dzieli ją szeroki pas żyznych pól z przepyszną pszenicą i dorodnym lnem.

Dlaczego Świeciechów? Że postała tam spółdzielnia produkcyjna? Tak, ale na jakiej drodze, poprzez jakie dzieje, poprzez jakie olbrzymie prace i budowy! Spółdzielnia produkcyjna w Świeciechowie jest dzieckiem całego powiatu kraśnickiego. Tysiące chłopów tam, na miejscu, w Świeciechowie zakładało jej fundamenty i stamtąd poniosło z sobą na gminy całego powiatu rozmach do nowego.

Jak to rozumieć? Poczekajcie, po kolei.

Świeciechów przez wieki był zagrożony wylewami Wisły. Ale zostawmy historię przeszłości. Co pamięta, czem żyło ostatnie pokolenie?

Kiedy późną wiosną lub wczesnym latem nie ustawały deszcze, czujne ucho chłopskie łowiło i nocą odgłosy dochodzące od rzeki. Jeśli szmer przeradzał się w głośny szum a potem w potężny huk przelewających się mas wodnych, chłop zacinał usta i patrzył ponuro na przeciwległy, wysoki brzeg ziemi kieleckiej. Był bezradny. Nie miejscu zielonych łanów rozlewało się na długo olbrzymie jezioro, a kiedy wody spływały do koryta, na polu pozostawało zboże skluszczone naniesionym mułem. Nawet bydło nie chciało jeść, zakisłej w szlamie trawy. Do chat i do obór zaglądał w takie lata głód. Chłopi, patrząc jak woda zmywa ich krwawicę, spluwali z determinacją.

— Hej ta Wisła, naniesie dobrej ziemi a potem zabiera co na niej się urodzi, jak macocha.

Przed wojną rząd sanacyjny puszczał „balony" o budowie wału, a w latach klęsk powodzianych, kiedy rozpacz chłopska przybierała powodzią gniewu, kapał „zbiórkową" jałmużną.

Nadzieje na wał można było perfidnie podsycać, bo każdy chłop rozumiał, że taka budowa wymaga setek tysięcy metrów ziemi i setek tysięcy dni roboczych, tylko państwo może takie dzieło przeprowadzić. Państwo? Ale nie kapitalistyczne!

Co powiecie o Świeciechowie, o drzemiącej w nim sile, wyobraźni i woli, kiedy wam doniosę, że na zebraniu gromadzkim w 1949 r. uchwalono: **skończyć z wylewami! Skończyć własnymi chłopskimi siłami!** Ta decyzja ma wymowę. Oto rewolucja. W nowej Polsce chłop odważył się wydać wojnę potężnemu żywiołowi. Zobaczył w sobie dostateczną ilość sił i wiary. Nie postawił „prośby' przed Rządem. Przeciwnie, uznał, że może wał ofiarować Rządowi i Ojczyźnie. Co to znaczy? Znaczy to, że nowy ustrój, że przemiany społeczne, że nowa władza ludowa, robotniczo-chłopska, stała się dla wsi i staje największą inwestycją, budzicielem **możliwości rezerw,** jakie dawniej szły na przepadłe.

Wróćmy do faktów. Co w tym wypadku okazało się rezerwą inwestycyjną? **Powiat Polski Ludowej!** Dacie wiarę, Świeciechów postawił na powiat, na 17 gmin, na wszystkie wsie, na większość chłopów w powiecie. Jak się weźmiemy razem, damy radę.

Świeciechów uwierzył, że chłopi z całego powiatu — pomogą. To było odkrycie, odkrycie nowego ducha w narodzie. I kiedy delegacja przyjechała z tym pomysłem do Powiatowej Rady Narodowej i Powiatowego Komitetu PZPR w Kraśniku, ówczesny przewodniczący PRN, tow. Jarmuł, zrozumiał, że

— Działajcie, Partia i Rada będą zachęcały do sprawy, jaką podejmujecie.

Rozpoczęły się zebrania na wszystkich gromadach, na których przemawiali delegaci ze Świeciechowa. Opowiadali, że ich wieś na początek opodatkowała się w robociźnie po 10 m sześc. ziemi od 1 ha. W agitacji różnie bywało, znajdowali się i tacy po wsiach, którzy nie mieli ochoty pracować dla dalekiego Świeciechowa, było ich jednak niewielu. Prawie wszystkie gminy i gromady postanowiły po zakończeniu żniw wyjechać nad Wisłę na roboty. Postanowiły, ale czy i jak wypełnią zobowiązania?

*

Chłopi ze Świecechowa zabrali się do roboty pierwsi w sierpniu tegoż roku. W falistym terenie obok wsi Kopiec znajdował się jakby lej, którym wezbrana woda wdzierała się na chłopskie pola i kładła pokotem zboża. W tę gardziel trzeba było wsypać 62 tys. m. sześc. ziemi, jeszcze tej samej jesieni. Gdyby nie wykonano w terminie roboty, wiosenne wody zmyłyby nasyp doszczętnie. Wielki, zbiorowy wysiłek nawet przez 2 tysiące m brakujących zostałby zniweczony całkowicie.

Znów nie do wiary. Kto przyjechał pierwszy z pomocą? Gospodarze z gminy Batorz, leżącej na drugim końcu powiatu, o dobrych kilkadziesiąt kilometrów od Świeciechowa. Jechali od świtu do północy. Na wozach umocowali transparenty — żeby każdy wiedział, że jadą z sąsiedzką pomocą nad Wisłę. Gdy minęli Annopol i zdewastowaną kopalnię fosforytów, ujrzeli z szosy na zieleniejących łąkach trzy rzędy słupów, znaczących granicę wału. Za nimi wypalikowano działki, na których trzeba było stanąć do roboty po trzech na jednej.

— Mądrze obmyślili — śmiali się goście. — Tak to jeden przypilnuje drugiego i nie da mu się lenić, bo nikt nie zechce za drugiego robić.

Odjechał Batorz — przyjechał Chrzanów, dla odmiany nie z transparentami, ale z kapelą, która rżnęła po drodze od ucha, budząc o świcie lub późnym wieczorem mijane wioski.

Przyjazd takiego Batorza czy Chrzanowa z drugiego końca powiatu to także objaw nowych dziejów wsi, to także wyraz nowego patriotyzmu. A skutek? Jedni z transparentami, drudzy z muzyką budzili we wszystkich wsiach, przez które jechali, społeczne sumienie chłopa. A tam, gdzie ich wozy nie przetoczyły się, docierała legenda. Bo w opowieściach dzieci i kobiet ich tabory urastały do pięciokrotnej wielkości. Wyobraźnię ożywił podziw, ambicja współzawodniczenia, lęk przed obmową i ciekawość, co też tam w Sieciechowie się dzieje.

*

Zanim mróz ściął powierzchnię wód w rozlanej szeroko odnodze rzeki, gardziel pod wsią Kopiec była zatkana. W wale długim na 3 tysiące 720 metrów leżało ubitych 130 tysięcy metrów sześciennych ziemi. Był to wyczyn tysięcy ludzi i koni, ale do końca roboty jeszcze było daleko. Co trzy kilometry nawet z górą — to nie osiem, bo na takiej długości trzeba było usypać wał, aby uchronić 1.200 hektarów najżyźniejszych pól, zolewanych corocznie.

Kiedy we wiosennym wylewie w r. 1950-tego pierwszy odcinek wału zatrzymał część mas wodnych i szkody były znacznie mniejsze duma i wiara w siłę gromad i gmin znów poruszyła powiat. Dla uczczenia pierwszego roku Planu 6-letniego podwyższono wymiar robót do 25 m sześc. ziemi, a gdy to jeszcze nie starczyło — przy podejmowaniu w całym kraju Czynu Melioracyjnego — do 30 m. sześc. ziemi na jeden wóz.

Znów na szosach powiatu kraśnickiego pojawiły się długie korowody chłopskich wozów. W czerwcu 1950 r. wznowiono roboty, wykorzystując przerwę w pracach w polu. W chmurach pyłu, w skwarze słonecznym pracowało tutaj po kilkaset wozów dziennie, a były i dni w których doliczono się ich dwa tysiące.

W gardzieli pod Kopcem zieleniła się już trawa, a na dalszych kilometrach sypano dopiero pierwsze pokłady między tyczkami.

Chłopski wał nad Wisłą stał się szkołą dyscypliny pracy i jedności ponadgromadzkiej i ponadgminnej. Tu się poznawali ludzie z całego powiatu i zadzieżgali przyjaźnie, jakich dotąd nie znali.

Gospodarza z Białej, Jana Florka, okrzyknięto przodownikiem pracy. Pierwszy zwiózł ziemię na swą działkę. Prawie razem z nim skończyli robotę Jan Mucha, syn Michała z tej samej wsi i Jan Kozik z Batorza, który tak samo jak Ignac Wsielak z Janowa pierwszy zakończył robotę w swojej grupie.

Już tego lata zakończono główne roboty przy sypaniu wału. A miał on być budowany według planów dopiero za trzy lata, ukończony zaś w 1956 roku, już po wykonaniu Planu 6-letniego. Chłopi kraśniccy w ramach pomocy sąsiedzkiej i Czynu Melioracyjnego usypali wał długości 8.100 m, zwożąc 310 tysięcy metrów sześciennych ziemi (sami gospodarze z Świeciechowa zwie-

(dokończenie na str. 7)

Bronisław Góralik - Bożanowski

Dzieje chłopa na Ziemiach Odzyskanych

ZIEMIE Odzyskane będą podniesione do rangi wielkiego ośrodka produkcji przemysłowej i rolnej. Ale chłopi repatrianci i autochtoni już byli tu od lat naocznymi świadkami gigantycznej odbudowy zniszczonych wojną terenów. Na oczach ich dźwigały się z ruin wsie i miasta, fabryki i szkoły, nikły ślady wojny. Obok odbudowanych zakładów pracy, dźwigniętych ze zgliszcz wsi i miast, oddanych do użytku dróg, linii kolejowych i mostów, wyrastać zaczęły nowe zakłady przemysłowe, nowe kominy fabryk wystrzeliły w niebo, powstały nowe szkoły i przedszkola, dziesiątki nowych świetlic i bibliotek pokrywały siecią obszar Opolszczyzny, wyrosły jakby spod ziemi nowe osiedla mieszkaniowe, ośrodki maszynowe i różnorodne obiekty gospodarcze. Z uczuciem podziwu niekłamanego obserwował autochton i repatriant zza Buga te poczynania władzy na Opolszczyźnie, widział, jak odradzała się ziemia, jak kształtował się nowy obszar życia. Wspaniałe tempo i porywający zapał, z jakim robotnicy usuwali zgliszcza minionej wojny i jemu się zaczęły udzielać. Uparcie, z uczuciem wzrastającego obywatelskiego obowiązku i głębokiego patriotyzmu brał się do likwidacji odłogów, wzmożonej hodowli bydła i trzody, organizował współzawodnictwo w przedterminowym wykonaniu prac rolnych, podnosił wydajność plonów i wchodził do spółdzielni produkcyjnych. Z dnia na dzień stają mu się one powszechnie — coraz bliższe.

Ale chłopi, którzy przyszli na Opolszczyznę, myśleli początkowo, że wyjdą gorzej od tych, co się osadzili na innych częściach Ziem Odzyskanych. Słabsze tu było rozmieszczenie przemysłu i rzadkie połączenia kolejowe na całym (obecnie zielonogórskim) województwie. Zerkali też to na Śląsk Dolny to na Wrocławskie. Chłopi zwłaszcza w pow. Niemodlińskim nie mogli się ułapić za uprawę nasiennych czy przemysłowych upraw, najbardziej opłacalnych. A chcieli się za to wziąć nawet... zabużanie. Ale właśnie... brak kolei, dotkliwy brak koni i własna niezaradność gospodarcza, pstrokacizna ludzi z różnych stron Polski, pstrokacizna zatem metod pracy i nawyków, bezpłodnie w nowych warunkach pawtarzanych — tak było na początku. Przez dwa lata uprawiano prawie te same rośliny, ziemia jałowiała, a plony były mniejsze, bez racjonalnego płodozmianu, mimo, że państwo wspomagało nas i nawozami i kredytami. Dwa lata huczało w naszych gromadach, jak w ulu, choć miodu jeszcze nie było. Huczało od starć, zadrażnień i wzajemnej nieufności, ale się też ze starych pni (krakowskie, kieleckie, rzeszowskie, śląskie, warszawskie i znad Bugu) wyroiły wreszcie nowe, zespolone gromady. Podnieśli ludzie głowy po wsiach i słuchać poczęli i patrzeć, co się dzieje na innych, co w gminach, co w powiecie, co w województwie? Bo i o tym trzeba pamiętać ,że ludzie tutaj po raz pierwszy przecierali szlaki do gminy, do powiatu i województwa. Uczyli się topografii swojej nowej ziemi, nowych stosunków, nowych wydarzeń.

Po dwu latach, że również i ziemia nie jednakowa, bo tu less a tam ił albo piach, wzmógł się powszechnie pęd do maszynowej obróbki i nawozu. A państwo właśnie ruszyło silnie z pomocą dla ułatwienia nam rewolucji w zacofanym systemie gospodarki. Jakby tak obliczyć potężna to była inwestycja i nie naraz, bo z roku na rok wciąż wzrasta. Już w r. 1950 prace wiosenne na Opolszczyźnie przeprowadzono maszynowo w 85%, a ilość nawozów sztucznych zużyta przez wieś dwukrotnie przewyższała wskaźnik z roku 1948, a czterokrotnie z lat tuż po wyzwoleniu. A dziś? Gęsta sieć POM-ów i SOM-ów rozporządza przeszło 450 snopowiązałkami i żniwiarkami, 700 kosiarkami, 125 traktorami, ogromną ilością grabiarek, pługów, wozów i innego sprzętu. Wszystko to stoi do dyspozycji mało i średniorolnych chłopów, którzy na przystępnych warunkach w szerokim zakresie korzystają z usług tych instytucji.

Kiedy w ubiegłym roku ogłoszony został Plan 6-letni, opolszczyzna weszła w nowy okres . Gdy bowiem dowiedziano się u nas o uruchomieniu nowej linii kolejowej, gdy przystąpiono do budowy dużej, nowoczesnej roszarni w Korfantowie, gdy wreszcie dowiedziano się, że w pow. opolskim powstanie fabryka włókiennicza, chłopów ogarnęło głębokie zadowolenie. Część z przeludnionych gromad pójdzie na zarobek do powstałych ośrodków przemysłowych, a pozostali będą gospodarować i dostarczać surowca dla zakładów. — Zmienia się życie na lepsze — mówią mieszkańcy powiatu obserwując powstanie kombinatów fabrycznych. Te wielkie widoczne zmiany w życiu gospodarczym powiatu i województwa, które w Planie 6-letnim ma się pokryć dziesiątkami ośrodków przemysłowych, setkami kilometrów linii kolejowych i nowych dróg, pociągają za sobą i mniejsze zmiany, które nie zawsze i nie przez wszystkich są dostrzegane, zmiany zachodzące w obrębie ich własnego gospodarstwa indywidualnego. Gospodarka obliczana na przypadek, oparta na dorywczym przypuszczeniu — przechodzi w planową, racjonalną gospodarkę. Wyrazem tego to planowania zasiewów, to rosnące kontraktowanie roślin. Oto gdy w gromadzie Małeżowice gmina Grębin chłopi postanowili omówić swoje plany w związku z nadchodzącymi siewami, przybył z powiatu przedstawiciel ZSCh i długo chłopom tłumaczył co to jest rejonizacja i jakie daje rezultaty. — „Bo chyba zgodzimy się wszyscy co do tego — mówił prelegent — że na naszych ziemiach np. len będzie słaby, gdy natomiast uprawy przemysłowe, jak rzepak czy inne oleiste, udają się bez zarzutu. I dlatego powinniśmy uprawiać te rośliny, które udają się lepiej i są bardziej opłacalne". — Chłopi niby to wysłuchali wszystkiego uważnie a jak przyszło do dyskusji, nie padł ani jeden głos.

Dlaczego? Chłopi byli obrażeni na to paplanie o „zasadach rzeczy samej w sobie". Dobrze to abecadło rozumieją od czasu, jak w Korfantowie roszarnię uruchomiono, jak Spółdzielnie ZSCh usprawniły skup produktów rolnych, jak sobie poobliczali korzyści w rozwoju linii kolejowych i z nowych budowli przemysłowych projektowanych w okolicy i powiecie. „Deklamatora" pożegnali milczeniem, a w dniu następnym na zebraniu w świetlicy sami obgadali dokumentnie plan wiosennych zasiewów, wprowadzając znaczne zmiany w projektowanym poprzednio planie upraw! **I tak: 60% areału przeznaczyli pod pszenicę, 15 pod oleiste, 15% pod motylkowe a tylko 10% pod ziemniaki. Postanowili ponadto zlikwidować czarny ugór i obsiać go rzepakiem, a następnie go zakontraktować.**

Uprawy kontraktowane wszędzie po wsiach opolskich cieszą się powodzeniem. **Np. Wawrzkiewicz,** małorolny chłop, osadnik z Bielic na 4 ha gruntu, w zeszłym roku zakontraktował pół ha rzepaku i 1 ha ziemniaków. W bieżącym roku obsiał 1,5 ha lnem. — A co ja będę tylko żyto siał? — Śmieje się odbierając kwit na nawozy sztuczne.

(dokończenie na str. 7)

Prof. JEAN HUGONNOT
Zastępca sekr. gen. Tow. Przyjaźni Francusko - Polskiej

List z Francji

Przyjaźń narodów Francji i Polski

PRZEZ długie tygodnie mury Paryża i wszystkich miast Francji, nawet najskromniejszych miasteczek i wsi w Zagłębiach Węglowych Nordu, Pas de Calais, Lotaryngii, Saony i Loary, w osiedlach górniczych St. Etienne, du Gard i Carmaux, zdobiły symboliczne afisze Miesiąca Przyjaźni Francusko-Polskiej, dzieła malarza Herve Morran: na błękitnym tle, w którym błękit śródziemnomorski łączył się z letnim błękitem polskiego nieba, gołębica w locie niesie gałąź oliwną. Na skrzydłach ptaka widniały barwy polskie i francuskie.

Miesiąc przyjaźni francusko-polskiej (kwiecień — maj 1951) nie pokrywał się z datami oficjalnego kalendarza. Zaczął się w kwietniu i przedłużył na cały maj, co dowodzi olbrzymiego sukcesu, z jakim spotkał się wśród francuskiej opinii publicznej.

Zapytajmy najpierw o przyczyny tego sukcesu. Nie były one kwestią przypadku. Nie ma przypadków w życiu narodu. Naród francuski przechodzi w tej chwili decydujący okres swego istnienia. Od maja 1947, tj. od czasu, gdy Komunistyczna Partia Francji, partia Vallesa, Vartina, Jules Guesde'a, Jean Jaurèsa i Maurice Thoreza, została usunięta od władzy na rozkaz magnatów z Wall-Street, Francja przestała być krajem wolnym. Imperializm amerykański i jego francuscy lokaje usiłują przekształcić ją w bazę agresji przeciwko Polsce, przeciwko ZSRR.

Armia francuska w planach amerykańskich generałów i Eisenhowera, „europejskiego Mac Arthura" ma być dodatkiem do armii atlantyckiej. Atlantyccy podpalacze świata chcieliby jej użyć przeciwko ludowi Francji i klasie robotniczej, chcieliby ją stopić z tą amerykańską armią okupacyjną, która jak olbrzymia pajęczyna oplątuje nasz kraj, budując na naszej ziemi bazy strategiczne, skierowane przeciwko Polsce, przeciwko ZSRR, i w której — według ostatnich obliczeń cytowanych przez sekretarza KPF, André Marty, znajduje się 45% byłych hitlerowców i żołnierzy Andersa.

Francja z kwietnia i maja 1951, Francja z czerwca 1951, która głosami swych obywateli i obywatelek, pomimo oszustwa wyborczego, powiedziała „nie" polityce wojny, jest krajem, gdzie płace ludzi pracujących straciły 50% swej wartości nabywczej w porównaniu z okresem przedwojennym, gdzie udział świata pracy w dochodzie narodowym spadł od 43,5% w r. 1947 do 34% w r. 1950, podczas gdy zyski trustów w tym samym okresie, wzrosły od 29 do 55%, gdzie cały ciężar podatków spada na szarych ludzi, a budżet wojenny przekracza 1.000 miliardów franków, gdzie od r. 1947 liczba bezrobotnych wzrosła w czwórnasób, bankructwo dosięgło 17.000 przedsiębiorstw, a inflacja przybiera astronomiczne rozmiary.

W tej atmosferze oczom wszystkich Francuzów dobrej woli przedstawiła się konieczność zacieśnienia więzów ekonomicznych i kulturalnych francusko - polskich, konieczność zawarcia przymierza przeciwko odrodzeniu militaryzmu w Niemczech Zachodnich.

Miesiąc przyjaźni francusko-polskiej zbiegł się w czasie z uczczeniem 80 rocznicy Komuny Paryskiej. W ciągu tych 72 dni, które przed 80 laty wstrząsnęły światem i były sygnałem poprzedzającym Wielką Rewolucję Październikową, przyjaźń francusko-polska nabrała swego właściwego znaczenia — braterstwa broni, które łączyło nie dwa rządy, lecz dwa narody, jednakowo w tym czasie uciskane.

Francja ludowa, szczycąca się dawnością i bogactwem swych tradycyj rewolucyjnych dumna jest z tego, że na jej ziemi, dzięki bohaterstwu generałów Wróblewskiego i Dąbrowskiego i 600 Polaków-bojowników Komuny, internacjonalizm proletariacki stworzył pierwsze państwo robotnicze na świecie.

Miesiąc Przyjaźni urozmaiciły liczne odczyty, po których wywiązywała się zawsze ożywiona i konstruktywna dyskusja. Odczyty te, przeznaczone dla najróżniejszych warstw społeczeństwa, wywołały żywe zainteresowanie, tak naturalne dla narodu, który poszukuje prawdy, i wie, że nowa Polska jest krajem pokojowego budownictwa, krajem lepszego życia dla wszystkich ludzi pracujących.

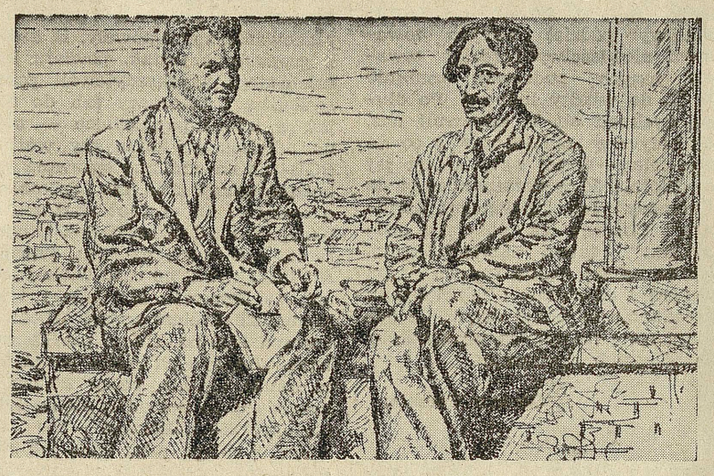

Maurice Thorez i Henri Barbusse

Jacques Nicolle, profesor Collège de France, który odwiedził niedawno Polskę i Niemiecką Republikę Demokratyczną, przemiawiał na temat doniosłego znaczenia stosunków polsko - niemieckich i utrzymania granicy na Odrze i Nysie, granicy pokoju.

Jean Noaro, sekretarz generalny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej mówił studentom uniwersytetu i intelektualistom o reformie szkolnej w Polsce w Paryżu, St. Etienne, Lyonie i Gennevilliers.

François Custet, zastępca sekretarza generalnego Towarzystwa, wygłosił w Paryżu odczyt charakteryzujący stosunki pomiędzy państwem i kościołem w Polsce. Licznie reprezentowane wśród słuchaczy duchowieństwo francuskie dało wyraz swemu zainteresowaniu dla tego zagadnienia, dokoła którego krążyło tyle kłamstw i oszczerstw.

Emile Tersen z wielką znajomością problemu przedstawił rolę Polaków w Komunie Paryskiej, nawiązując do tradycji francusko-polskiego ruchu oporu, która każe pamiętać wszystkim Francuzom, że 80.000 Polaków walczyło w armiach francuskich w r. 1939-40, że 70.000 partyzantów polskich uczestniczyło w walce przeciw okupantowi nazistowskiemu od 1940 do 1945 r., i że w wielu miastach fracuskich stoją pomniki, wzniesione ku czci bohaterów rozstrzelanych w ostatniej wojnie, na których można odczytać tyleż samo nazwisk polskich co francuskich.

Pierre George, profesor Sorbony dwukrotnie wobec architektów wygłosił odczyt o Warszawie, wielkiej stolicy socjalistycznej, omawiając ze zwykłą sobie jasnością nowy charakter urbanistyki w Polsce.

Z równie wielkim zainteresowaniem spotkał się odczyt na temat wymiany gospodarczej francusko-polskiej wygłoszony przez p. Charles Bettelheim, dyrektora Wyższej Szkoły Handlowej. P. Grosjean, reprezentujący przemysł, z entuzjazmem nakreślił obraz nowej Polski. Licznie zgromadzeni przedstawiciele świata przemysłu stawiali pytania świadczące o zainteresowaniu kół przemysłowych dla wymiany handlowej francusko-polskiej.

Wielkie zainteresowanie wzbudziły również odczyty p. Blanche Prévost na temat matki i dziecka w Polsce, wygłoszone w Paryżu i Gennevilliers i p. Jules Duchat z CGT o nowym położeniu robotnika w Polsce.

Pogadanka p. Dominique Desanti na temat „Mężczyzna i kobieta w Polsce" przyciągnęła szerokie rzesze słuchaczy. Dominique Desanti z wielkę znajomością rzeczy przeprowadziła porównanie między zamierającą już dawną Polską obszarników i rozwijającycą się w błyskawicznym tempie Polską socjalistyczną, podkreślając, przy pomocy przykładów, różnicę życia człowieka w jednej i w drugiej Polsce. Po odczycie wywiązała się żywa dyskusja, wyrażająca wielkie zainteresowanie Francuzów dla życia w Polsce Demokratycznej.

Publicysta Roger Maria mówił na sali Mutualité o przyjaźni polsko-radzieckiej. 600 osób z wielkim zainteresowaniem słuchało tego odczytu, ukazującego, jak te dwa wolne narody zawarły przymierze niezbędne dla pokoju świata w tym samym czasie, kiedy francuskie koła rządzące deptały na każdym kroku pakt francusko-radziecki.

Konferencja prasowa, rozpoczynająca miesiąc przyjaźni, zgromadziła 150 uczestników. P. Wanda Jakubowska, reżyser „Ostatniego etapu" oraz dyrektor Filmu Polskiego p. Albrecht wygłosili odczyty, których wysłuchało 300 filmowców i artystów paryskich, reprezentujących wszystkie odłamy opinii politycznych.

Koncerty p. Władysława Kędry w sali Gaveau w Paryżu i w Domu Ludowym w Lens, oraz Haliny Czerny-Stefańskiej w sali Geveau i w Ośrodku Kulturalnym zarządu zakładów Renult w Billaincourt były prawdziwymi triumfami sztuki muzycznej polskiej.

W osiedla robotniczych podmiejskich okolic Paryża nie było dnia, aby filmy polskie i żywe dyskusje nie wypełniały konkretną treścią Miesiąca Przyjaźni. Wschód i Północ Francji na równi z Paryżem uczestniczyły w tych braterskich manifestacjach.

Zmarshallizowana prasa, strumanizowane radio, mimo najszczerszych chęci, nie mogły pominąć milczeniem Miesiąca Przyjaźni. Może to być jeszcze jednym dowodem — gdyby dowód taki był potrzebny — jak potężny i nieodparty jest nacisk opinii publicznej w epoce, w której dylemat „wojna czy pokój?" staje przed ludźmi z całą ostrością i jaskrawością.

Kongres Przyjaźni Francusko-Polskiej, (dn. 12 maja) otworzył wszystkim Francuzom, okłamywanym przez wojenną propagandę, nowe horyzonty stworzenia klimatu potrzebnego dla nadejścia prawdziwej francuskiej demokracji ludowej.

„Za naszą wolność i waszą" — dwa narody pozostają wierne hasłu wypisanemu na sztandarach powstańców polskich w Warszawie w 1830 r i wytężają wszystkie swe siły, aby imperializm amerykański nie mógł uczynić z Francji strategicznej bazy agresji przeciw Polsce i ZSRR, aby nie mógł zmienić przybranej ojczyzny Mickiewicza, Chopina, Dąbrowskiego, Wróblewskiego, Curie Skłodowskiej i 350.000 robotników polskich we Francji, w nowy cmentarz, w nową Koreę.

Zadania przyjaźni francusko-polskiej nigdy nie były większe, niż w tej chwili, ale też nigdy nie były większe jej nadzieje.

Czerwcowe wybory wykazały prawdziwą wolę Narodu starej, pięknej, rewolucyjnej Francji. Jest nią — pokój i postęp. A to oznacza głębszą braterską przyjaźń i szacunek dla braterskiego narodu Polski, dla jego chłopów, robotników i inteligencji.

Jean Hugonnot

ANDRZEJ PIWOWARCZYK

List z Czechosłowacji

Na wsi Słowackiej

CHŁOPI z Bożetachowa, zapadłej wsi słowackiej, długo myśleli nad tym, jakby powiększyć swoje dochody. Wieś była mała. Liczyła 212 gospodarzy, ciśniętych, w 40-tu starych chałupach. Wszyscy razem mieli 330 ha ornego. Jak i co zrobić, żeby wyżywić rodziny, gdy i ziemia nie była najlepszego gatunku.

Gromada postanowiła założyć hodowlę drobiu. Na wniosek Jana Krzysztoficza zeszło się po żniwach 25-ciu gospodarzy i wybrali Komitet Organizacyjny. Do grudnia stanęły pod dachem zabudowania farmy. 25-ciu chłopów z Bożechowa, mających razem 93 ha ziemi, odpracowało dobrowolnie kilka tysięcy godzin. (Potem, jak policzono, trzeba by za tę robotę zapłacić około 50-ciu tysięcy koron).

Inni mieszkańcy wsi chodziil cały czas bokiem i przyglądali się w milczeniu. Nie wierząc, żeby się kiedykolwiek mogło coś zmienić w okolicy, nie mieli przekonania do kolektywnej pracy.

Przyszła zima r. 1949. Drogi jak zawsze zawiało w okolicy śniegiem. Mrozy nie dawały nosa wyściubić na dwór. Najlepsza pora do debat i opowiadań. Jak świat światem w Bożetachowie nie czytało się nic poza żywotami świętych pańskich i modlitewnikiem. Nawet nie można powiedzieć, żeby się czytało. Ot, kartkowało się i mówiło, bo wszyscy znali na pamięć przygody Daniela w jaskini lwów i przygody świętego Jana na rusztach. Wieś słowacka jest znacznie uboższa od wsi czeskiej, bardziej religijna. Toteż inne książki w Bożetachowie były rzadkością.

Dopiero budowa farmy, która się powiodła — i konieczność zagospodarowania farmy („bo jak zrobiliśmy już tyle — róbmy dalej" — mówiono) spowodowały, że chłopi wzięli się do czytania. Rada Spółdzielni Czechosłowackich, do której Komitet Organizacyjny z Bożetachowa zwrócił się o materiały informacyjne, przysłała całą furę broszur i czasopism. Listonosz wiejski zapadał w śniegu i szedł z pobliskiego miasteczka do Bożetachowa o dwie godziny dłużej niż zwykle. Tyle tego wszystkiego było.

Po komisyjnym rozpakowaniu przesyłki gromada zabrała się do czytania. Krzysztoficzowi przypadła w udziale broszura pod tytułem „Doświadczenia rolników w spółdzielniach produkcyjnych". Na temat tych doświadczeń wywiązała się między 25-ciu założycielami wspólnej hodowli drobiu szeroka dyskusja. Wieczór w wieczór mówiło się o trudnościach i problemach roboty w polu. W końcu wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że nie można wegetować dalej tak, jak dotąd, że nie wystarczy sama farma drobiu, bo nawet na 93 ha można więcej zbierać, szybciej i taniej pracować. Pokazali to inni — tak przynajmniej wynikało z broszury i z całego szeregu wydawnictw, w których pisano o istniejących już w Czechosłowacji spółdzielniach produkcyjnych.

Trzeba przejść od zastarzałych form chałupniczej produkcji indywidualnej do produkcji masowej i społecznej. Ba, ale jeśli da się wszystko rozwiązać mechanizacją, wynikałoby z tego, że trzeba zaorać miedze. A na to zebrani nie mieli jeszcze ochoty. Zbyt stary i zbyt zakrzepły był jeszcze tamtej zimy konserwatyzm chłopów w Bożętachowie. Wspólna hodowla drobiu — owszem. Wspólny zasiew — proszę bardzo. Mogą być wspólne zbiory, ale co do miedzy — o, to jeszcze nie, na to sobie poczekamy!

Rzecz jasna, że niemałe znaczenie miała w tym wypadku propaganda rozsiewana przez dwu czy trzech zamożnych gospodarzy, śmiejących się w kułak ze „spółki", —założonej przez pierwszych 25-ciu.

„Mnie by się przyszedł pokornie spytać, jak się to robi! Tu powinien stanąć pod progiem, zdjąć czapkę i poprosić o wyjaśnienie" — mówił o Krzysztoficzu młynarz, siedzący na 20-tu ha.

Młynarz, chodząc po wsi, chwytał się za boki ilekroć zobaczył którego z członków powstającej spółdzielni.

„Ludzie, trzymajcie mnie, bo pęknę ze śmiechu" — powiadał. Ten śmiech pobudzał tylko najbardziej zawziętych do tym gorętszego przygotowania planu wspólnych prac wiosennych. Ułożono wreszcie wszystko według wzorów z innych spółdzielń, o których czytano w nadesłanych przez Radę Spółdzielń materiałach informacyjnych. Plan miał odpowiednią część finansową i oparty był na obietnicy przysłania z Państwowej Stacji Maszyn trzech traktorów. Prócz tego we własnym zakresie zdołano zmobilizować pięć zaprzęgów końskich. Przygotowano ziarno i nawozy. Wypadało teraz czekać sprzyjającej pogody.

6-go marca 1950 roku 25-ciu chłopów z Bożetachowa, powitawszy traktorzystów czem kto mógł — wyszło w pole. Przygotowano i naoliwiono maszyny. Najpierw ruszył traktor z pługiem i broną, za nim konie z rozrzucakiem nawozu, potem trzy pary koni z siewnikami, potem zaprząg z bronami lekkimi.

Nienależący do spółdzielni, ci którzy wyszli popatrzeć, jak tym 25-ciu śmiałkom idzie, spoglądali z powątpiewaniem. Dopiero po południu zaczęto się dziwić. Ten i ów podchodził bliżej, nie chcąc wierzyć, że wszystko można robić za jednym zamachem — i to jeszcze tak dobrze. Najstarszy członek grupy 25-ciu, nazwiskiem Uljaki, potrząsając długą brodą i nie mogąc nadążyć za końmi, krzyczał w stronę gospodarzy, biedzących się samotnie na sąsiednich, indywidualnych działkach: „to się nazywa robota, to jest technika, panie dzieju, nie tak jak u was, hetta wio, maluśkie, wio".

Proroctwa i śmiechy młynarza skończyły się tak nagle, jakby brzytwą uciął. Cały Bożetachów doszedł do wniosku, ze grunty spółdzielców zostały nie tylko szybciej, ale i lepiej obsiane. Kiedy spółdzielcy kończyli zasiew jęczmienia, zapomniawszy już o robocie przy burakach cukrowych — pozostali mieszkańcy wsi zaczynali dopiero z burakami. Kolektyw pracował szybciej i taniej. Przy starych metodach roboty na zasianie 30-tu ha jęczmienia, należących do spółdzielców, trzeba było 12 dni. Teraz zasiew został przeprowadzony w ciągu 5 dni. A jeden ze starszych członków spółdzielni, dziadek Niemiczowicz, rozgniewał się nawet, że nie było dla niego roboty, że go Komitet Organizacyjny posyłał przy każdej okazji na „spacer".

A jak wypadł plan finansowo? Skończywszy roboty wiosenne spółdzielcy wzięli ołówki i zaczęli liczyć w obecności ciekawych z całej wsi. Z obliczeń wynikało, że praca na jednym ha jęczmienia z orką, rozrzuceniem nawozu i siewem kosztowała 40 proc. taniej niż przy uprawie indywidualnej. To znaczy, że zaoszczędzono na 30 ha prawie 15 tysięcy koron. „Niewierni", nie należący do spółdzielni, wzięli do ręki rachunek ze składu nawozów i z Państwowej Stacji Maszyn i zaczęli liczyć po swojemu. Liczyli z góry na dół, z dołu do góry, tak i siak i zawsze to samo wychodziło. A nawet według nich, tych postronnych obserwatorów, spółdzielcy nie tylko że zarobili 15 tysięcy, ale i coś ponad tę sumę. Tajemnica wyszła na wierzch, kiedy okazało się, że nie należący do spółdzielni, nigdy tak wysoko nie oceniali swojej pracy. Do tego jeszcze doszło to, że jęczmień spółdzielczy został zasiany prawie o tydzień wcześniej, niż gromadzki. A tydzień wegetacji też oznacza przecież coś — niecoś!

Wieś przejrzała na oczy. Wszyscy poza młynarzem i dwoma bogaczami wyrazili chęć przystąpienia do spółdzielni. A spółdzielcy, sprawdziwszy na własnej skórze to, co jeszcze temu i owemu wydawało się w zimie propagandą, zaczęli myśleć o tym, żeby iść dalej.

Krzysztoficz wrócił do swej koncepcji. Zaczął przekonywać innych, że robota byłaby jeszcze lepsza i tańsza, gdyby traktory nie musiały tracić czasu na przejazdy z jednego skrawka na drugi. Krzysztoficz zaproponował, żeby znieść miedze, a zostawić w polu tylko kołki. Było jasne dla wszystkich członków spółdzielni w Bożetachowie, że skoro wspólnie zasieli — powinni wspólnie zebrać, że tak samo trzeba opracować plan żniwa i omłotu, a potem plan robót jesiennych.

O tym dalszym etapie rozwoju Bożetachowa, o tym wyższym stopniu walki chłopów bożetachowickich o wyjście z „idiotyzmu życia na wsi" — mówił Krzysztoficz tak: „nie myślcie, że wszystko szło jak z płatka, że nie było trudności. Uskutecznienie czegoś takiego, jak wspólny jesienny zasiew całej wsi nie należy do rzeczy łatwych. Trudności mieliśmy zawsze u nas i przedtem, zanim powstała farma drobiu — dziś już dobrze funkcjonująca — i potem były trudności jak przystąpiliśmy do wspólnych żniw. No ale trudności są po to by je pokonywać. I nie tylko myśmy je mieli"...

Szczególnie wtedy, gdy doszło do wspólnego zasiewu jesiennego, za przyczyną dwu bogaczy i młynarza zaczęły się niesnaski. Nowi członkowie spółdzielni, mając, za sobą mniejsze doświadczenia, zaczęli sarkać na małe zarobki. Aczkolwiek zarobki były większe niż przy pracy indywidualnej każdego na swoim, ludzi trzeba było ciągle przekonywać na nowo.

Warto zaznaczyć w tym miejscu, że dziadkowie Uljaki i Niemiczowicz czując się pokrzywdzeni tym, że nie bierze się ich do roboty w polu, stali się bardzo gorliwymi i czynnymi aktywistami politycznymi spółdzielni, (nie licząc tego, że pomagają stale w zarachowaniu dniówek).

A więc sami spółdzielcy, żeby przekonać innych, musieli się zacząć uczyć. Musieli się wziąć do czytania, żeby móc odpowiadać. Tą drogą przyszła do Bożetachowa, wsi zabitej deskami od świata, polityka, przyszła konieczność wystawienia domu spółdzielczego z salą zebrań, skąd już tylko krok od oświaty i kultury, do wspólnej pralni, która by odciążyła w pracy kobiety, do kina itd. Teraz wieczorami po skończonej pracy chłopi w Bożetachowie opracowują plany racjonalnej uprawy ziemi i racjonalnej hodowli bydła. Wiedzą już „co dalej".

Krzysztoficz mówi: „Gdybyście spytali „co dalej"? dwa lata temu, nie wiedzielibyśmy, jak wam odpowiedzieć. Znaleźliśmy drogę i z tej drogi nie zejdziemy. — Jak teraz wspomnę o tym, co było, a co jest — to mi się wydaje, jakby się u nas na wsi wstrząsnęła ziemia"...

Andrzej Piwowarczyk

Gejza Salay — Narada

Dzieje chłopa na Ziemiach Odzyskanych

(dokończenie ze str. 6)

W tychże Bielicach najlepsze wyniki w kontraktowaniu osiąga **Tilc autochton.** Ludzie mówią, że Tilc robi „doświadczenia". W zeszłym roku 1 ha gruntu obsiał rabarbarem, 1/2 ha trawą, a 1/2 ha burakami cukrowymi. Buraki miał wspaniałe ,a trawa i rabarbar rokują piękny zbiór. — Bardzo to się opłaca — przekonuje Tilc. Był w Związku Radzieckim. Przez jedno lato pracował w kołchozie w okręgu saratowskim, gdzie uprawiano w dużych ilościach rabarbar i pomidory. Dzięki niezwykle obfitym plonom i opłacalnym cenom kołchoźnicy żyli w prawdziwym dobrobycie.

Prawda, że uprawy kontraktowane wymagają więcej pracy, są pracochłonne, co znacznie lżej byłoby wykonywać maszynami. Zwłaszcza chłopi, nie mający rąk do pracy w swojej rodzinie, wzdychają do całkowitego zmechanizowania rolnictwa. **Stopniowo pragnienia ich będą się urzeczywistniały. Wspaniałymi wynikami w tym względzie poszczycić się mogą spółdzielnie produkcyjne,** które większą część prac wykonują maszynowo.

Szczególny podziw w spółdzielni produkcyjnej w Bielicach budzą sprowadzane z ZSRR oplewacze do buraków. Dzięki temu udogodnieniu zaoszczędza się wiele czasu na pilne prace w polu. Nie inaczej jest także w hodowli. Jak było z hodowlą bydła i w jakich warunkach utrzymywano je, najlepiej wiedzą rapatrianci, którzy w większości zamieszkują Bielice. „Hodowla" małorolnego chłopa z Wołynia czy Podola ograniczała się do jednej krowiny, będącej mieszaniną różnych ras. Wąska miedza i polna droga — oto wypas przez całe lato. Na hodowlę wysokogatunkowego bydła pozwalał sobie jedynie obszarnik.

Dziś w oparciu o wzory radzieckie następują u nas i pod tym względem wielkie zmiany na lepsze. Szereg zootechnicznych placówek naukowych prowadzi prace nad podniesieniem hodowli bydła. Na opolszczyźnie istnieje już taka placówka, pod Opolem, zaopatruje ona w pierwszym rzędzie PGR-y i spółdzielnie w zarodowe, piękne bydło. Całkowite wykonanie tego planu możliwe jest w pełnym systemie gospodarki socjalistycznej. I rzeczywiście wzorem pod tym względem są spółdzielnie produkcyjne na Opolszczyźnie, które swoimi osiągnięciami na odcinku hodowli promieniują na gromady, koncentrując uwagę chłopów gospodarujących jeszcze indywidualnie.

(Bronisław Góralik-Bożanowski)

Świeciechów to wielki temat

(dokończenie ze str. 6.

źli 56 tysięcy m.) — to znaczy 30 tysięcy wagonów.

Pociąg taki ciągnąłby się na przestrzeni 300 kilometrów, zająłby więc tor z Warszawy do Poznania. Pracowało tutaj 620 tysięcy wozów chłopskich. Gdyby je wszystkie ustawić jeden za drugim — sznur ciągnąłby się przez 3.720 kilometrów. Trzeba by je było ustawiać w czterech rzędach na drodze między Krakowem i Gdynią.

Wartość robót wyniosła 17 milionów złotych, zaoszczędzonych dla skarbu Państwa, a przez wstrzymanie wylewów zapobiegnie się corocznie stratom 50 milionów złotych.

— Przez tyle lat spłukiwała woda ciężkie miliony, pokolenia całe nie dały jej rady, a teraz w dwa lata zagrodziliśmy jej drogę na pola — zastanawiał się niejeden nad siłą, jaką wyzwala z mas socjalistyczne budownictwo.

✤

Kto raz spróbuje swoich sił w wielkim przedsięwzięciu, nabiera wiary w swoją moc. Chłopi z powiatu kraśnickiego nie zadowolili się budową wału świeciechowskiego. W tym roku (1951) postanowili do dnia 22 lipca przepracować 133 tysiące dni roboczych i zaoszczędzić w ten sposób 1 milion 203 tysiące złotych. W porównaniu z wartością robót pod Świeciechowem (510 tysięcy zł. w obecnej walucie) tegoroczny Czyn Melioracyjny powiatu kraśnickiego przekracza dawne osiągnięcie więcej jak dwukrotnie. Wał przeciwpowodziowy nad Wisłą jest już usypany, zabrano się więc w gminach i gromadach do robót melioracyjnych. Mając takie osiągnięcia chłopi powiatu kraśnickiego wezwali do współzawodnictwa wszystkie powiaty w kraju. A reguluje się brzegi rzeki Lubni w pow. bielskim, drenuje mokradła w pow. włodawskim. Z powiatu tomaszowskiego nadesłano meldunki o rozpoczęciu robót w 82 gromadach wartości 105 tysięcy złotych. W Zamojskim oblicza się wartość przeprowadzonych robót na 259 tysięcy złotych.

✤

Wiecie kiedy powstała spółdzielnia produkcyjna w Świeciechowie? W zeszłym roku, kiedy roboty przy wale dobiegały końca. Osiągnięcia przy budowie przekonały przedsiębiorczych gospodarzy, że tylko wspólnie można zrobić to, czego w pojedynkę nigdy się nie dokona. Praca przy wale wychowała — kolektyw. A wał w Sieciechowie był wielką lekcją patriotyzmu socjalistycznego dla całego powiatu.

Czyż zełgałam, zaczynając ten list od propozycji dla pisarzy? Nie jest to temat do wielkiej, epickiej prozy, na chwałę naszego ludu?

Krystyna Pałys

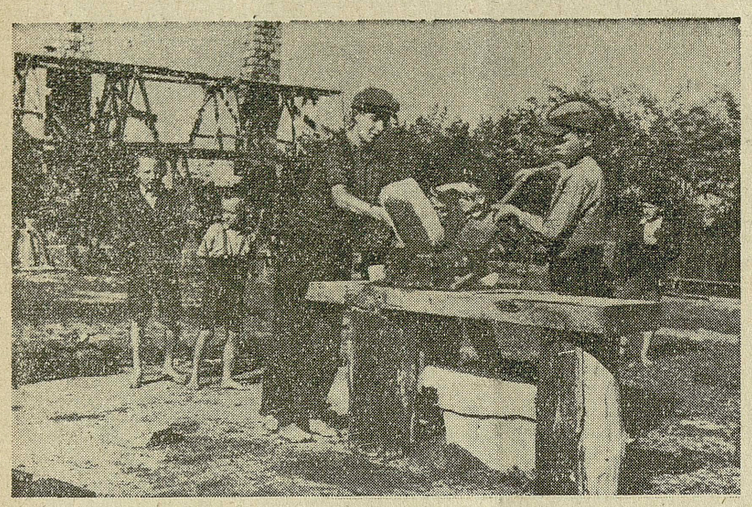

Wybór zawodu

Znaczenie nauki, zwłaszcza nauki, mającej praktyczne zastosowanie w rolniciwie, wrosło na wsi niezwykle w ostatnich latach. Coraz częściej słyszy się w rozmowach między dorosłymi i młodzieżą na wsi takie słowa jak: traktor, maszyny rolnicze, kombajny, ziarno selekcyjne, system wielopolowy, mechaniczna obróbka ziemi, plon i kontraktacja, nie mówiąc już o nawozach sztucznych, które cieszą się w spółdzielni gminnej nie mniejszym popytem, niż węgiel czy inne artykuły przemysłowe.

A przecież pamiętam że w tej samej wsi w latach 1945-46, a nawet i w 47 jeszcze nawet celowość stosowania nawozów sztucznych była dla niejednego wielce problematyczna, a o orce traktorem przeważał sąd wybitnie ujemny. Dziś nawet najbardziej zacofani, rekrutujący się przeważnie (w terenie dostępnym mojej obserwacji) z biedoty wiejskiej, przekonali się naocznie o konieczności postępu i techniżacji w rolnictwie i tem żywiej doceniają teraz ważność nauki jako dźwigni dobrobytu i kultury.

Świadczy o tym między innymi wybór zawodu przez młodzież szkolną. Jakkolwiek głos tu ma przede wszystkim młodzież, to jednak nie na tyle, by inspiracja, czy choćby tylko aprobata rodziców była bez znaczenia. W wyborze zawodu zawsze da się odkryć ślad wpływu wychowawczego nie tylko szkoły lecz i domu.

A oto jakie motywy podaje młodzież przy wyborze zawodu.

Piętnastoletni Feluś, uczeń o średnich zdolnościach, syn małorolnej wdowy, tak uzasadnia swą chęć zostania ślusarzem - mechanikiem: „Chcę pracować w obranym przez siebie zawodzie, bo chcę, żeby w Polsce nie było żadnej wsi bez traktorów i nowoczesnych maszyn rolniczych. Dla produkcji tych maszyn potrzeba jest wielu fachowców ślusarzy i mechaników. Takim ślusarzem - mechanikiem pragnę właśnie zostać".

Zawód ślusarza, mechanika, szofera cieszy się wśród chłopców wielkim powodzeniem. Na 28 absolwentów klasy VII (14 chłopców i 14 dziewcząt) aż 10 chłopców wyraziło chęć pracy w tych zawodach. Wszyscy są synami małorolnych, przeważnie z rodzin wielodzietnych, niezamożnych. Jedna z dziewcząt wyraziła chęć zostania traktorzystką. Jest to córka małorolnego, nadzielonego z reformy pięciu hektorami ziemi z folwarku. Siostra jej idzie do gimnazjum, po skończeniu nauki pragnie zostać nauczycielką, aby jak mówi: „kształcić i wychowywać z kolei młodzież, by wyrosła na dobrych obywateli Polski Ludowej". Nauczycielkami pragną zostać jeszcze dwie dziewczynki, 17-letnia Marysia i 14-letnia Irka. Pierwsza uzasadnia swój wybór tak: „Mimo spóźnionego wieku mogę dziś się uczyć i widzę jasną przyszłość dla siebie. Nauką w szkole pragnę przyczynić się do realizacji Planu 6-letniego, a późniejszą pracą w zawodzie nauczycielskim ugruntować socjalizm w umysłach i sercach dziatwy szkolnej".

Autorka tej wypowiedzi to córka robotnika kolejowego, posiadająca duże zdolności do nauki, przodująca w zakresie matematyki członkini SP i ZMP.

Podobnie ujmuje sprawę i druga z „nauczycielek" również córka robotnika stacyjnego PKP, posiadającego 2 morgi odziedziczonej po rodzicach ziemi. „Im więcej jest ludzi wykształconych, tym silniejsze państwo. Wybrałam zawód nauczycielski, by móc innym tłumaczyć, co znaczy Polska Ludowa, co znaczy socjalizm. Za przykładem ZSRR podnosimy poziom wiedzy wśród szerokich mas, aby wzrastał dobrobyt i kultura. Jako nauczycielka będę pośredniczyć w przekazywaniu osiągnięć wiedzy. To jest mój cel".

13-letnia Marysia córka zawiadowcy odcinka PKP, wybiera zawód lekarza, bo chce, „by więcej ludzi było na świecie zdrowych, by zdrowi i silni wzięli się z całej siły do pracy dla Polski Ludowej i budowy ustroju socjalistycznego w naszym kraju".

15-letnia Ala, również córka robotnika kolejowego, obrała sobie pokrewny zawód — zostanie pielęgniarką: „bo chcę ulżyć w cierpieniu i pracować przy chorych i rannych".

Lekarzem pragnie również zostać 16-letni Mirek, uczeń wyjątkowo uzdolniony, syn 5-hektarowego rolnika. Pisze on: „Polska Ludowa daje mi możność uczyć się dalej, więc i ja pragnę się jej odwdzięczyć po zdobyciu zawodu. Pragnę w przyszłości zająć stanowisko przy którejś placówce, aby leczyć ludzi pracy". Z pozostałych wypowiedzi wynika, że jedna z dziewcząt pragnie zostać przedszkolanką dwoje pragnie udać się na studia handlowe (Państwowe Technikum Administracyjno Handlowe w Łodzi), jedna z dziewcząt, córka średniorolnego, uzdolniona do rysunków, udaje się do Liceum Sztuk Plastycznych, dwie pragną pracować w tradycyjnym zawodzie krawieckim, jedna udaje się do gimnazjum dziewiarskiego (córka średniorolnego członka spółdzielni produkcyjnej I-typu), a jeden z chłopców, syn średniaka pozostaje w domu by pracować na roli aby — jak pisze — „ludzie w mieście i na wsi mieli co jeść!"

„Będę dobrze uprawiał ziemię, wykorzystując doświadczenia przodujących rolników i wskazówki agrobiologii, by najwięcej odsyłać zboża i mięsa do spółdzielni gminnej, do miast, dla ludzi pracy".

Na jakie można pozwolić sobie wnioski z tej ankiety z jednej szkoły i z jednej wsi?

PO PIERWSZE. U rodziców małorolnych, widać najwyraźniej odczuwanie nowej bazy na wsi. Maszyny, traktory entuzjazmują ich, wierzą w rozwój nowej tecnniki, widzą na tej drodze przyszłość wsi przyszłość narodu. U nich dzieci mają najpełniejsze poparcie do zawodów mechanika, ślusarza, szofera. Ale ta droga jeszcze zbyt wąsko jest pojmowana przez starych i młodzież małorolną. W granicach konkretnej, namacalnej widzialności. Już nie sięgają do budowy maszyn po linii technicznej i wcale do chemii i agrobiologii po linii produkcji rolniczej.

PO DRUGIE. Zgoda u małorolnych i półrobotników na dalsze uczenie się młodzieży jest prawie powszechna, ale jeszcze bardzo często wydeptuje traaycyjne ścieżki (nauczyciel, lekarz). Za mało na wsiach informuje się o wielkim bogactwie zawodów (i szkół), oczekujących na naszą młodzież, za mało konkretnie, nie podając adresów na zaciąg do pracy, czy nauki.

PO TRZECIE. Wieś leży w okręgu łódzkim, a tylko jedna dziewczyna zamierza pójść na dziewiarstwo. Za mało wychowuje się młodzież do lokalnego patriotyzmu. A Łódź przecież to kawał dziejów naszego przemysłu, naszej klasy robotniczej i jej walk rewolucyjnych.

PO CZWARTE. Jak ze słów średniorolnego chłopca wynika, zostaje on na wsi, ale jeszcze bardzo na „własnym gospodarstwie".

Oto echa wpływów rodziny, jakie odnotowałem na jednej wsi. Sygnalizują one potrzebę przeprowadzenia szerszej ankiety.

JAN MARSZAŁEK

Książki nadesłane

KSIĄŻKA I WIEDZA.

D. Bachszijew — Dziewiąty zjazd WKP(b) (1920) — str. 147.
Beaumarchais — Cyrulik Sewilski— str. 159.
Józef Cyrankiewicz, Edward Ochab, Roman Zambrowski — Zagadnienia frantu narodowego — str. 43.
T. Czechow — Chłopcy — str. 19.
T. Czechow — Zbiec — str. 19.
B. Fiedorowicz — Oblicze pustyni — str. 261.
Blasco Ibanez — Ziemia przeklęta— str. 237.
F. D. Łaptiew — J. W. Stalin Twórca ustroju kołchozowego — str. 42.
F. Rabinowicz — Młodzież pewnej fabryki — str. 141.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12, tel. 40180—90
Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7,
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddział w Warszawie. ulica Srebrna 12. tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel Redakcji 751-80 [illegible] wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISOW NIE ZWRACA.
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3—zł.; kwartalnie 9—zł.; półrocznie 18—zł.; rocznie 36—zł.;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO. Warszawa I—6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
RSW „PRASA" Warszawa Marszałkowska 3/5 2-8-35002

Ludzie i sprawy

Głagosz, chłop małorolny z powiatu radomszczańskiego do którego najpierw wstąpiliśmy, machnął ręką i rzekł: „Co mi tam będziecie tłumaczyć, ja dobrze rozumiem, że dla przyspieszenia rozwoju gospodarki potrzeba pieniędzy, dlatego deklaruję jako pożyczkę 120 złotych"... Następny gospodarz, którego odwiedziliśmy, Słomkiewicz, także nie pozwolił się przekonywać. Bez żadnej dyskusji zadeklarował 180 złotych. I tak dalej i dalej. Ogółem na 25 chłopów tylko trzech nie mogło się zdecydować od razu na zadeklarowanie. Jeden z nich ob. W., gospodarz o przychodowości ponad 12.000 złotych oświadczył, że nie może zadeklarować żadnej sumy, gdyż nie ma pieniędzy(?) Jak będzie miał to sam przyniesie, nawet i wtedy gdy państwo już nie będzie potrzebowało pożyczki. Drugim był małorolny chłop ob. K., który oświadczył, że owszem, ma pieniądze ale pożyczki nie zadeklaruje, bo jego ojciec opowiadał mu, że za cara pieniędzy nie pożyczali, a też dobrze było. Wreszcie trzecim z naszej trójki był miejscowy ksiądz. Oświadczył on, że pożyczki nie deklaruje, bo nie ma dochodów. W tym miesiącu bowiem miał tylko 2 śluby, 3 chrzciny i 1 pogrzeb. Na naszą uwagę, że sąsiedni proboszcz zadeklarował 200 złotych, odparł, że „tamten to może, bo w tym miesiącu (w czarwcu) miał siedem ślubów i cztery pogrzeby. Z tych wywodów katolickiego „duszpasterza" wynika, że biedaczek bez częstych pogrzebów nie ma z czego deklarować. A „okrutny" los nie układa się pomyślnie dla proboszcza, owieczki nie bardzo chcą się kłaść do trumny. W wioskach Korytno i Kalinki, gm. Macławice już w pierwszym dniu zbierania deklaracji swój udział w pożyczce zadeklarowało ponad 60 proc. gospodarzy. W liczbie tej byli wyłącznie mało i średniorolni chłopi. Ciekawy jest fakt, że ob. K. nie zadeklarował w pierwszym dniu żadnej sumy dlatego, że krytycznie ocenia pracę miejscowej spółdzielni ZSCh, którą kierują nieodpowiedni, jego zdaniem, ludzie. Mianowicie gdy przyszła mąka do spółdzielni rozdzielono ją pomiędzy czterech obywateli. Tak samo dzieje się z materiałami odzieżowymi, z cukrem i wyrobami mięsnymi, a rozdział zwłaszcza cukru odbywa się stanowczo niewłaściwie. G.S. każdą otrzymaną ilość cukru dzieli równo na filie nie biorąc pod uwagę, że w jednej gromadzie mieszka około 150 gospodarzy, natomiast w drugiej ponad 300 gospodarzy. Taki zdawałoby się „sprawiedliwy" podział pewnych towarów i niewłaściwy rozdział towarów innych poderwał zaufanie ob. K. do władzy ludowej. Po długiej dyskusji ob. K. zapewnił nas, że pożyczkę zadeklaruje, a co do spółdzielni — opisze natychmiast jej złą działalność w korespondencji do „Gromady" lub „Zielonego Sztandaru". Chodząc za pożyczką „odkryliśmy" zatem korespondenta. Tak to na wsi jedna sprawa drugą wspiera i odwrotnie i jakiekolwiek zaniedbania w jednej dziedzinie odbijają się i na innych wydawałoby się odległych sprawach.

Gustaw Tomala.

Obrachunek

W powiecie rybnickim 80 proc. chłopów zadeklarowało na Pożyczkę Narodową sumy znacznie wyższe niż przewiduje to uchwała Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej.

U nas w gromadzie Kosztowy chłopi przystępując do omówienia Pożyczki Narodowej zaanalizowali najpierw, co dla nich uczyniła już władza ludowa. Małorolny **Sowa**, słusznie podkreślił, że władza ludowa nie tylko myśli o miastach i o przemyśle, ale dba i o wieś.

„Patrzcie na naszą wieś — mówił — Kosztowy otrzymały instalację wodociągową, zelektryfikowano całkowicie wieś, uruchomiono 12 sklepów spółdzielczych".

— „No i otwarto dwie świetlice, z których jedną wyposażono 1000-otomową biblioteką, co tydzień przyjeżdża kino, wyświetlając interesujące filmy" — wyliczali inni.

Na tym nie koniec. Bo są również siewniki, młocarnie, poradnia sanitarna i przedszkole i wiele innych osiągnięć gromady, które zawdzięcza ona naszej władzy ludowej. Gromada dąży ustawicznie do stworzenia sobie lepszego życia. Zebranie zakończono uchwałą, której ostanie zdania tak brzmią:

„Rząd ludowy szedł nam na rękę, udzielał kredytów długoterminowych i pomocy wszelkiej w potrzebie — pożyczymy i my, chłopi, tak dla wspólnego dobra jak i dla nas samych, gromady"...

Małorolny **Brom** zadeklarował dwa i pół raza więcej niż to przewidywała uchwała ZSCH mówiąc: — „Wiecie co ludzie, mnie, to wyszłoby z dochodu, z samego pola nie tak wiele. Ale przecie ja i koniem dorobię, przewożąc towar, to dam dwa i pół raza tyle".

To samo uczynił małorolny Stolon, który podwyższył zadeklarowaną sumę o 40 proc. Podniosło zobowiązania także 7 innych.

Sąsiednia gromada Krasowy, dowiadując się o tym szlachetnym czynie swoich przyjaciół z Kosztów, aby nie pozostać w tyle — również gremialnie deklarowała wpłaty na pożyczkę. W ten sposób obydwie gromady zebrały wspólnie ponad 16 tys. złotych.

Jerzy Hłond

Umiemy porównywać

Wycieczka chłopów z naszego legnickiego powiatu, zorganizowana przez ZSCh jeździła do Nowej Huty pod Krakowem — i chłopi opowiadają z zachwytem o budownictwie tego ośrodka pracy, jak również opowiadają o wielu innych nowych budowach, które widzieli po drodze.

Przed wojną było mało fabryk, panowie je nie tylko nie rozbudowywali, ale wręcz przeciwnie — nieraz je zamykali robiąc, jak u nas mówili chłopi, tak zwane „wygasy", a to w tym celu, by podwyższyć cenę na artykuł produkowany w danej fabryce. Przez to robotnik tracił pracę — stawał się bezrobotnym, a poza tym cały lud musiał drożej płacic za produkty przemysłowe. A obecnie w Polsce Ludowej rozbudowuje się fabryki, fabryka żadna nie robi „wygasu". Dlatego nie ma bezrobotnych, coraz więcej potrzeba ludzi do fabryk, coraz więcej potrzeba ludzi wyszkolonych zawodowo — i szkoli się w średnich i wyższych zakładach naukowych, a nauka ta jest udostępniona każdemu... My chłopi pamiętamy, że przed wojną za rządów Polski sanacyjnej były dwa rodzaje budownictwa — dla dwu odrębnych sobie klas, tj. dla proletariatu — rudery i sutereny, a dla „jaśnie panów" — piękne jasne pokoje. To samo było i na wsi — pałace dla dziedziców, a nędzne czworaki — dla służby folwarcznej. Nie wiele lepsze chaty od czworaków służby folwarcznej mogli wybudować sobie chłopi mało i średniorolni, a obecnie w Polsce Ludowej — buduje się w Warszawie i innych miastach piękne i nowocześnie urządzone bloki robotnicze — buduje się i wiele przestronnych , jasnych i ciepłych domów na wsi. Któż to przed wojną słyszał o założeniu na wsi stałego kina? A na ogólną ilość 7 gmin w naszym powiecie 3 gminy posiadają już stałe kina. Któż to przed wojną słyszał o ośrodkach zdrowia na wsi? A w naszym powiecie 3 gminy już posiadają te ośrodki. Któż to słyszał ażeby organizować świetlicę na wsi? — A w naszym powiecie już jest 23 świetlic zarejestrowanych, a obecnie myślimy, aby wybudować w gromadzie Kunice wielki, obsługujący kilka wsi Dom Kultury. W każdej prawie wsi są dziś ludowe zespoły sportowe, których u nas jest 23, liczne ludowe zespoły artystyczne, chóralne, muzyczne, biblioteki gromadzkie.

Bronisław Marcinek

Coraz więcej chłopów rozumie

Coraz więcej nas chłopów rozumie, że dobre jest nie tylko to, co robił nasz „dziad" czy „pradziad" — lecz wprowadzamy do naszego gospodarstwa ulepszenia. Idziemy i my z postępem, bo wiemy, że kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Świat idzie ciągle naprzód, a my, rolnicy, nie tylko że nie możemy pozostawać w tyle, lecz jeśli nie wyprzedzać, to przynajmniej dotrzymać kroku musimy prawdziwemu postępowi.

Bierzemy dziś przykład z naszych dzieci, z naszej młodzieży... Widzimy sami, jak córki i synowie nasi garną się do wszelkiego rodzaju szkół, by zdobywać oświatę, wiedzę, rozumieją bowiem dobrze że nauka, że wiedza to największa potęga, pragną więc wiedzy tej zdobyć jak najwięcej, bo wykształcony rolnik potrafi z roli wyciągnąć maksimum korzyści, potrafi podwoić a nawet potroić plony. Dziś każdy pracą swą opartą o zdobycze nauk wnieść może większy wkład do wspólnej skarbnicy dobra narodowego, bo dziś coraz mniej jest takich, co to myślą jeno o sobie, dziś wszyscy uczą się i pracują i myślą o wspólnym dobru, dziś każdy stara się zorganizować sobie robotę, by lżej a wydajniej pracować. Dzięki wynalazkom naszych mechaników, dzięki ich ofiarnej pracy coraz więcej pracuje już na naszych polach nowoczesnych maszyn rolniczych, które pracę rolnika czynią. użejszą, a bardziej wydajną. Coraz więcej jest nawozów sztucznych, których dostarczają wsi chemicy. Wieś polska rozumie coraz lepiej, tę wielką rolę jaką odgrywa w życiu społeczeństwa wszechstronny rozwój nauki. Odczuwa bowiem na każdym groku jej błogosławione owoce.

Józef Firek

W Rzeszowskim

Przed żniwami

Szybkimi krokami zbliżają się żniwa. We wszystkich gminach, gromadach i wsiach województwa rzeszowskiego, począwszy od 14 czerwca radzą chłopi nad sprawnym przebiegiem akcji żniwno-omłotowej. Ustalają plany pomocy sąsiedzkiej, planują wykorzystanie maszyn z POM-ów. W spółdzielniach produkcyjnych, których jest już 108, przygotowuje się maszyny własne i planuje udział w żniwach maszyn oraz traktorów z POM-w. Trwają intensywne przygotowania w PGR-ach.

Radzą chłopi wespół z przedstawicielami Partii i Rad Narodowych, bo nie chcą by powtórzyły się zeszłoroczne błędy i zaniedbania. Źle ustalone plany spowodowały, iż SOM-y wykonały przewidziane prace zaledwie w 45 procentach; niewłaściwi ludzie w komitetach członkowskich i fałszywie pojmowane planowanie spowodowały, iż kułacy z gromady **Frysztak**, powiatu **krośnieńskiego** zdyskredytowali pomoc sąsiedzką i biedniacy szli do nich jak w latach poprzednich — znów na odrobek za konia czy wóz; w PGR-ach na odmianę sprawnie wykonano sprzęt zbóż, ale zapomniano o zwózce i 10 procent zbóż zostało narażone na deszcze, a 4—6 procent zrosło całkowicie na pniu. **Przemyski POM** chciał od razu wiele zdziałać, zaplanował w jednej tylko **gromadzie Stubno** sprzęt zboża z obszaru 1700 ha, chłopi przyklasnęli temu „wyczynowi". Ale po podsumowaniu wyniku pracy POM-u okazało się, że był on w stanie tylko obsłużyć 800 hektarów.

Radzą chłopi, gdyż chcą jak najsprawniej wykonać tegoroczne prace żniwne. Ruszyły już w teren komitety członkowskie i komisje, których zadaniem jest sprawdzenie stanu maszyn w SOM-ach, POM-ach. Oby któraś z tych komisji jak najprędzej dotarła do przemyskiego POM-u. Niedobrze się tu dzieje. Na maleńkim dziedzińcu zgromadzono tak wiele maszyn, że traktorzyści i mechanicy z trudem się między nim przeciskają, by dostać się do szopki-kuźni. I jak tu myśleć o należytym i na czas przeprowadzonym remoncie, kiedy na skutek tego tłoku żaden z mechaników nie wyrabie swych norm. Bo i hala warsztatowa to też szopa, w której nie wiadomo jak się obrócić. I ciemno w niej, bo przez matowe szyby światło z trudem się przesącza. A tu żniwa za pasem.

Tymczasem przy ulicy Wiśniowieckiej świecą pustką wspaniałe budynki właśnie przeznaczone dla POM-u. Od trzech miesięcy. Bo Zarząd Elektryfikacji Wsi z Rzeszowa nie dostarczył do tej pory transformatora do linii wysokiego napięcia, doprowadzonej na 50 metrów od budynków. I wcale się tym nie przejmuje, że żniwa nadchodzą, a na monity odpowiada — „znajdziemy gdzieś transformator, to elektryczność doprowadzimy w tempie rekordowym".

Żniwa to bojowe zadanie. To realny wkład w budowę Frontu Narodowego, w dzieło realizacji Planu 6-letniego. Muszą one szczególnie sprawnie w roku bieżącym przebiegać. Nakłada to wielkie obowiązki na Rady Zakładowe, na chłopów, na wszystkie instytucje rolnicze, a tym samym i na POM i Zarząd Elektryfikacji Wsi z Rzeszowa. Ostatnia uchwała KC Partii w sprawie Gryfic winna być groźnym ostrzeżeniem dla tych, którzy wypaczają linię Partii i Rządu, którzy powodują karygodne zaniedbania naruszające nasz Plan.

Andrzej Wera

Czołowi ludzie

Pewien młody dziennikarz z „Nowin Rzeszowskich" pisał reportaż z fabryki. Był w Radzie Zakładowej, był u sekretarza Partii, rozmawiał z przodownikami, oglądał hale fabryczne i magazyny. I reportaż napisał. Znalazły się w nim opisy technologiczne, roiło się od cyfr, procentowego wykonania norm i planu. Brakło jednak człowieka. A przecież za cyframi planu stoi żywy człowiek, bohater codziennej pracy i o nim nie wolno zapominać.

Ziemia Rzeszowska ma też swoich czołowych ludzi, realizujących Plan 6-letni. Kto są ci ludzie, wyrabiający 200, 300 i więcej procent normy dziennej? Oto jeden z nich, znany na całe województwo cieśla **Mieczysław Szela**, majster z PPB. Kiedyś był on „popychadłem", wędrującym z budowy na budowę, z miejsca na miejsce, wystającym przed fabrykami dla zarobienia paru złotych. Nikt się Szelą nie interesował, bo i po co Interesowano się natomiast, czy będzie przy największej pracy chciał brać najmniejszą zapłatę. Teraz Szela pracuje przy budowie hal fabrycznych w Rzeszowie. I wyrabia 600 procent normy. Szela, cieśla nie znaczący w latach sanacji nic, dziś stał się pierwszym w woj .organizatorem pracy ciecielskiej. Jemu podległe zespoły **Szczepańskiego, Franciszka Szeli, Ziaji, Jakóbca** właśnie dzięki tej organizacji osiągają także prawie 400 proc. normy. I dumni są ze swego majstra.

W rozwadowskiej parowozowni przeżywano ostatnio wielką uroczystość. Przodownik pracy — maszynista **Konstanty Grygorowicz** został udekorowany Złotym Krzyżem Zasługi. Zaoszczędził on ze swą załogą parowozu TR 201—70, w skład której wchodzą **Stanisław Wójcik, Stanisław Tulak i Emil Wroński**, od września ub. roku do czerwca b.r. węgla i smarów na sumę 11.750 zł.

Wśród czołowych ludzi woj. rzeszowskiego są i kobiety. Oto w hucie Stalowa Wola już po raz trzeci przodownictwo pracy zdobywają kobiety — **Anna Morska** osiągająca 190 procent normy, **Kutnikowska, Kwaśnicka** wypracowujące 259 procent norm. A kiedyś były tylko zwykłymi — jak Szela cieśla — robotnicami, szukającymi bezskutecznie po fabrykach zarobku.

Takich jak wymienieni jest coraz więcej. **Cecylia Czerwińska** pierwszy wytapiacz na piecu w Stalowej Woli, **Edward Kowal** racjonalizator rozwadowskiej parowozowni, **Stanisław Beczek, Władysław Kozub, Bazyli Wójtowicz** małorolni chłopi i korespondenci gazet, **Piotr Ożański** młodzieżowy przodownik pracy — dziecko ziemi rzeszowskiej, dziesiątki nowych, socjalistycznych ludzi.

I okazuje się, że plan to nie tylko cyfry. To w pierwszym rzędzie, jak uczy Stalin — żywy człowiek. „Plan produkcji to żywa działalność, działalność w praktyce milionów ludzi. Realność naszego planu — to miliony ludzi pracujących, którzy tworzą nowe życie". Niech te znamienne słowa wodza proletariatu będą wyraźnym wskaźnikiem, dla dziennikarzy i pisarzy.

Wojciech Smuła

Trzeba lepiej przekonywać

NA 6-tym Plenum KC PZPR postawiono szczególnie silnie zagadnienie przekonywania, jako podstawowej metody agitowania chłopów na rzecz spółdzielni produkcyjnych. Jest bardzo źle, kiedy tej skutecznej metody nie używa i zaniedbuje ją właśnie spółdzielnia produkcyjna. A tak trzeba powiedzieć o spółdzielcach z Andrzejowa Dunarowskiego pow. sochaczewskiego woj. warszawskiego.

Poszukajmy przyczyn tego stanu...

W pierwszym rzędzie — brak Podstawowej Organizacji Partyjnej, która by w należyty sposób pokierowała życiem politycznym i społecznym gromady. Prawie całą gromadę stanowią członkowie ZSL-u, lecz mimo iż w swych szeregach mają tak dzielnego członka jak Pietrzak Szymon, nie stanowią sprężystej, zwartej ideologicznie grupy partyjnej. Liberalizm w stosunku do wrogów klasowych, machanie ręką na głos kułackiej propagandy i mówienie — nic nam nie zrobią, jak sobie nastrzępią gęby — wierzenie w „jakoś to będzie", ufność, iż dotychczas bierni chłopi jakoś „sami przyjdą do przekonania", oto codzienne fakty. No, a jak biedota nieuspółdzielniona „ma przyjść do przekonania", skoro sołtys gromady Kazimierz Dziuryński w parę tygodni po podpisaniu statutu ostentacyjnie się ze spółdzielni wycofał, bo „nie chciał mieć piekła w domu i skarania boskiego".

...No jak, skoro widzą złą oborę, bo choć nowa, ale źle wewnątrz wybudowana... No jak, kiedy w spółdzielni pracuje tylko czterech chłopów, a czterech, choć jest członkami, ugania się za zarobkiem w Sochaczewie... No jak, kiedy nauczyciel podobnie jak Dziurzyński wystąpił z kolektywu i przeniósł się do innej miejscowości... ...No jak mają się biedniacy przekonać, jeżeli kułak Mateusz Chałasiński, posiadający 20 mórg ziemi, bezkarnie występuje przeciw spółdzielni, chociaż w czasie akcji skupu zboża dokonano u niego przymusowego omłotu...

Idźmy dalej. Maszyny do spółdzielni dostarcza POM z Teresina. Ale przyjadz traktorzystów ogranicza się jedynie do wykonania orek. Żadnej roboty politycznej nie widać.

Przez rok czasu nie naprawiono błędów geometry przeprowadzającego komasację gruntów.

dzielni, choć niewyrobieni politycznie ludzie, jest w nich wiele marnowanego zapału. Chodzi więc tylko o pomoc ideologiczną, partyjne uzbrojenie. Polityka bowiem rozstrzyga, kieruje gospodarką. Ten prymat polityki nad ekonomią, widoczny w planowaniu wielkich budowli Planu 6-letniego, musi być wiodczny i w spółdzielni andrzejowskiej Tej tezy leninowskiej o pierwszeństwie pracy politycznej wypaczać nam nie wolno.

Maciej Kobiera